Nr. 45 (1141). Warszawa, 26 Października (8 Listopada) 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Irlandczycy. — Listy z Wiednia, p. K. Radosławskiego. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Z cmentarza, p. Stanisława Rossowskiego.— ŻYCIE SPOŁECZNE: Listy galicyjskie, p. Dalekiego. — Nasi argonauci, p. Mar. Wys. — FEJLETON: Książka Weresajewa, p. Andrzeja Niemojewskiego. — Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Chorwaci i Serbowie (studyum socyologiczne), II, p. prof. Ludwika Gumplowicza. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura niemiecka, p. Bertolda Merwina. — POEZYE: Z cyklu „Żegluga“: Zatopione statki, Odjazd, Zatoka, Żegluga, p. Stefana Smoleńskiego. — Na marginesie. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

IRLANDCZYCY.

Nowa uciekiera z obozu liberalnego Anglii, lorda Roseberego, wypowiedziana d. 1 b. m. w Edinburgu, otwarła znowu te wrota z dantejskim napisem, za któremi rozciąga się jeden mroczny, posępny obszar — kwestya irlandzka. Były towarzysz wiekopomnych prac Gladstone'a, rzecznik, obrońca i przedstawiciel *home-rule*'u, wyparłszy się go pod wrażeniem walki podbojowej w Afryce, teraz do wyparcia się wzywa całe swoje stronnictwo, grożąc mu niezdolnością do rządów w razie wytrwania w dawnej jeszcze gladstonowskiej wierze. I stronnictwo ukorzy się przed groźbą i usłucha swego niegdyś przewodnika, a dziś jeszcze najwyżej cenionej powagi; ukorzy się i usłucha, nie dlatego, aby już całe nawskroś przeżarte było zaprzaństwem, ale dlatego, że nie ma odwagi walczyć bez wiary w powodzenie. Ostatni, w r. 1893, zamach Wielkiego Starca na sumienie Anglii, aby je oczyścić i ukoić czynem sprawiedliwości, miał przeciwko sobie Izbę lordów; dziś zamach podobny miałby już obie Izby, a w narodzie ogromną większość. Gwałt, który natchnął wojnę z Boerami, musiał zrobić swoje w duszach angielskich: znieprawił je. Szyllerowskie przekleństwo złego czynu spadło na Anglię i pogrąża ją coraz głębiej w samolubstwo, które najlepszy rozum stanu względem Irlandyi wskazuje w przemocy.

Niczego zatem nie może się spodziewać Irlandya od swych zdobywców z XII i XVI w., a ten stan beznadziejności trwać może długie, długie lata — aż do jakiejś wielkiej niedoli, wielkiego obskoczenia przez jędze dziejowe, do jakiegoś pogromu, tego najlepszego ochmistrza rządów i państw uporem zastępujących mądrość. Sposób, w jaki z tego czasu skorzysta Irlandya, treść własna, jaką go wypełni, ma większe dla jej przyszłości znaczenie, niż manifest potępienia rzuconego na nieprzedawnione prawa Narodu Irlandzkiego. Ten, komu nakazują wyrzec się nadziei spokojnego odzyskania dóbr wydartych, ulegać musi pokusie odebrania ich siłą: mowa Roseberego, gdy ją czyta Irlandczyk, jest dla niego hasłem do wejścia na drogę rewolucyjną. Usłuchanie tego hasła byłoby dla Irlandyi zgubą. Gdy w przeszłym tygodniu zapowiedziano w Izbie gmin interpelacyę o to, co znaczą wielkie dostawy broni z Anglii do Irlandyi — i czy rząd wie o nich?— sympatya, jedyny prawowity wyraz ideowego stosunku do Irlandczyków, zadrżała z trwogi, czy rzeczywiście nieszczęśliwy naród nie myśli o chwyceniu za broń. Taki popęd byłby samobójczym. Anglia w pełni pokoju ze wszystkimi, ostatecznie pogromicielka Boerów, choć po długiej, zaciętej i nie dla Anglików zaszczytnej walce; Anglia nienapastowana na zachodnich granicach Indyj i nienękana w Chinach — a zarówno obszarem ziemi, jak liczbą mieszkańców olbrzymia — w pomyślnych dla siebie warunkach zgniotłaby obrońców praw narodowych i drakońskiemi prawami zgotowałaby zagładę samej narodowości.

A właśnie narodowość jest wszystkiem. Jej pielęgnowanie, jej rozwój, jej siła—równolegle z czynnikami kulturalnymi w istotę narodową wszczepiana — to cały program i cały rozum polityczny, narzucający się społeczeństwu irlandzkiemu. Po wielkich gorączkach lat 1861—86 sami Irlandczycy spostrzegli już tę prawdę, że gdy nie można żyć na zewnątrz bez ofiar wyczerpujących samą istotę, potrzeba zamknąć się w sobie, rozwijać się wewnętrznie, wzmacniać i pogłębiać, a nadewszystko z pojedynczych warstw społecznych wytwarzać coraz lepiej zcalony, coraz szczerzej kulturą i cywilizacyą, samoistnie przetwarzaną, przejmowany naród. Dzisiejsza ich Liga Narodowa nie jest już dawniejszą ligą rolną — wojskiem do walki na noże z landlordami i z Anglią. Jest to rzeczywiście instytucya narodowa, do politycznego i kulturalnego rozwoju narodu dążąca. Pod jej osłoną działają instytucye drobniejsze, jak np. związek wskrzeszający dawne zwyczaje, pieśni, zabawy; odgrzebujący i rozpowszechniający literaturę staroirlandzką — związek, do którego nawet lordowie angielscy kilka lat temu naiwnie zapisywać się zaczęli, i sam nawet ówczesny książę Walii nie wahał się zażyć tego rodzaju sportu.

Liga Narodowa na drodze spokojnej, wewnętrznej pracy, na jaką pozwala niezawieszona jeszcze konstytucya angielska, ma przed sobą jeden cel prawdziwie wielki. Irlandczyk dotychczas w swoich działaniach przeciwko Anglikowi używał mowy tegoż Anglika, bo własną swą zatracił. Jest to wprawdzie świetne świadectwo potęgi ideału politycznego, ale jest zarazem i dowód niemocy i groźba wydziedziczenia tak straszna, że gdyby urzeczywistnić się miała, pogrążyłaby w nicość wszystko to, co stanowi dobro narodowe Irlandczyka. Statystyka, bardzo chwiejna, bo trudno ją rzetelnie zebrać, podaje liczby mówiących po irlandzku na początku wieku XIX większe, niż w końcu. Wskrzeszenie mowy irlandzkiej, rozpostarcie jej z licznych, ale słabo promieniejących ognisk, na ca-

łą krainę, przez Irlandczyków zaludnioną—powinno być marzeniem, ideałem, sprawą szlachetnej ambicyi tych mężów, którzy ster nawy narodowej w rękach swych dzierżą. Gdyby to wskrzeszenie się udało, gdyby Irlandczyk kiedyś praw swoich we własnej tylko swej mowie mógł bronić — byłaby to nietylko etnologiczna *in integrum restitutio*: byłaby wielka polityczna zdobycz. Sam trud uszlachetniłby i wzmocnił naród, a owoce tego trudu wytworzyłyby już udzielność tak głęboko w istocie samej wyrytą, że naród Irlandzki mógłby z wiarą w niezawodność swego czynnego życia dziejowego wystawiać się na największe nawałnice i przeciwności wszelakie i wszystkieby przetrwał, aby ostatecznie stanąć na widowni świata z własną indywidualnością, doskonałą a niepożytą.

Listy z Wiednia.

Ugoda z Węgrami i parlament przedlitawski. — „Konieczność państwowa.“ — Dr. Koerber i sprawa językowa.“ — Niezadowolenie ogólne i niechęć do „tablic żelaznych.“ — Ratunek chwilowy w ministeryum koalicyjnem.

Konieczność rychłego zawarcia ugody z Węgrami zaczyna już wywierać wpływ swój na stosunki parlamentarne przedlitawskie. Ugoda ta, dotycząca tych spraw wspólnych między dwiema połowami monarchii habsburskiej, które nie podlegają stałym wspólnym ministeryom (wojny, spraw zagranicznych i finansowych), oraz delegacyom, lecz muszą być załatwiane przez osobne rządy, względnie parlamenty, każdego z dwóch państw, a więc dotyczące przeważnie doniosłych spraw ekonomicznych, bywa, jak wiadomo, zawierana co lat dziesięć od chwili wprowadzenia konstytucyi dualistycznej, czyli od r. 1867. Ostatni raz, w r. 1897, z powodu stosunków, panujących w parlamencie wiedeńskim, nie została ona zawarta na drodze normalnej — prawodawczej, lecz dla Przedlitawii treść jej została wprowadzona w życie za pomocą dekretu ministeryum hr. Thuna, wydanego na mocy paragrafu 14 konstytucyi. Podług konstytucyi węgierskiej jednak, ugoda zawierana być ma jedynie z Austryą, parlamentarnie rządoną; zasada ta wypływa z logicznej obawy, że absolutyzm, znów zaszczepiony w Austryi, mógłby się z łatwością przeszczepić i na Węgry. Zgoda zatem Węgier na ugodę, zawartą po za parlamentem austryackim, była już pewnego rodzaju ustępstwem od zasady. Pełni ufności w swój silny parlamentaryzm, mogli sobie na nią Węgrzy pozwolić, tembardziej, że w ten sposób odbierali rządowi austryackiemu możność targowania się o realne, ekonomiczne korzyści dla przedlitawskiej połowy monarchii. Istotnie, narzucona dekretem z góry ugoda Thunowska przyniosła Węgrom nowe korzyści ekonomiczne, wychodzące na szkodę szczególniej przemysłowi austryackiemu. Wogóle Przedlitawia, wskutek złego stanu i słabości swego parlamentaryzmu, jest w ugodzie z Węgrami stroną pod względem finansowo-ekonomicznym pokrzywdzoną. Dynastyi zależy zasadniczo na istnieniu ugody, zdaje sobie bowiem sprawę z tego, że gdyby jedność terytoryum celnego została rozbita, gdyby każde z dwóch połączonych pod jej rządami państw na własną rękę zawierać zaczęło traktaty handlowe z państwami obcemi, to wkrótce prysnąć by musiała także i jedność dyplomatyczna, i jedność wojskowa, i całe „mocarstwowe stanowisko“ monarchii habsburskiej.“ Ponieważ Węgrzy bez żadnej ceremonii badają zawsze, przedewszystkiem, czy warunki ugody są korzystne *dla nich samych*, i ponieważ silny ich parlamentaryzm absolutnie wyklucza wszelką możliwość narzucania im czegoś wbrew woli reprezentacyi narodowej, więc korona skłonna jest do robienia im jak najdalej idących ustępstw, wiedząc z góry, że w Austryi z łatwością znajdzie się rząd biurokratyczny, gotowy do obrony w parlamencie takiej, ekonomicznie dla Austryi niekorzystnej ugody, że parlament wiedeński nie zdobędzie się na poważną, bezwzględną opozycyę wobec „konieczności państwowych,“ wynikających z „mocarstwowego“ stanowiska Austryi, i że wreszcie, w ostatecznym razie, pozostaje zawsze w odwodzie ów § 14 konstytucyi, upoważniający ministeryum do wydawania rozporządzeń z mocą prawną, zamiast parlamentu.

Na Węgrzech istnieją stronnictwa, które w imię węgierskiej idei państwowej domagają się zerwania ugody z Austryą, zupełnej niezależności w sprawach handlowo-przemysłowych, głosząc, że i pod względem gospodarczym okazałoby się to w końcu dla Węgier korzystniejszem. Nie są one wprawdzie większością parlamentarną, ale dla tej większości „liberalnej,“ która się trzyma dualizmu w zakresie r. 1867, i dla reprezentującego ją rządu stanowią silną ostrogę do zdobywania jak największych korzyści ekonomicznych dla Węgier na drugiej połowie monarchii; na niebezpieczeństwo tej opozycyi mogą się ministrowie węgierscy zawsze powoływać wobec austryackich i wobec cesarza, jako na argument przeciw wszelkim ze swej strony ustępstwom. Obecnie konieczność odmówienia ugody przypadałaby dopiero na r. 1907; ale węgierski prezes ministrów, chcąc dać choć częściowe zadośćuczynienie zwolennikom niezależności handlowej Węgier, wymyślił t. zw. „formułę Szella,“ podług której, jeśli do końca r. 1903, terminu, w którym traktaty handlowe z obcemi państwami musiałyby być wypowiedziane, nie nastąpi między Austryą a Węgrami zgoda co do taryfy celnej, to wówczas Węgry zachowują zupełnie wolną rękę i przystępują do opracowania własnej taryfy celnej. „Gilotynowy“ termin r. 1903 stał się w rękach rządu węgierskiego środkiem wywierania nacisku na komisyę i na rząd austryacki. Ten ostatni długimi targami o korzyści dla Przedlitawii może uniemożebnić zawarcie ugody przed końcem r. 1903, a na to korona nie może się zgodzić i w końcu zmusi go do ustępstw na korzyść Węgier.

Z drugiej strony jednak dr. Körber, powołany do uzdrowienia stosunków parlamentarnych w Austryi, wziął się do tego w taki sposób, że wysuwając na pierwszy plan zadania polityki gospodarczej, pragnął skłonić walczące partye narodowościowe, przedewszystkiem naturalnie Czechów i Niemców, do odłożenia spraw narodowościowych na czas późniejszy. W przeszłym roku udało mu się to za pomocą projektu budowy sieci kanałów i kolei żelaznych. Dla każdej narodowości, a głównie dla Niemców i Czechów, zawierały się w tych projektach poważne korzyści; to też sesya przeszła spokojnie, uchwalone zostało nietylko to prawo, ale i zmniejszenie dnia roboczego w kopalniach do 9 godzin. Czesi zgodzili się na to zawieszenie broni, na chwilowe wspomnienie o cofnięciu rozporządzeń językowych Badeniego za które grozili przedtem nieustanną obstrukcyą, dopókiby nie zostały przywrócone. Ale jednocześnie już wtedy zapowiedzieli, że na zawieszenie broni pozwolą tylko do rozpraw nad projektem nowej ugody austro-węgierskiej, z chwilą zaś wniesienia tego projektu zamierzają, podług wypróbowanej metody narodowości, walczących ze sobą w Przedlitawii, dopóty nie dopuścić do jej uchwalenia, dopóki im nie zapłacą — przywróceniem języka czeskiego w Czechach. Wszak za tę samą cenę obiecali Badeniemu w r. 1797 swe głosy za ugodą. Jednak teraz rząd zgodzić się na ten targ nie może, ponieważ i Niemcy, pod naciskiem wszechniemców, dali dowody, że kiedy chodzi o ich narodowościowy „stan posiadania,“ przestają dbać o „konieczności państwowe“ i nie cofają się przed obstrukcyą. Więc p.

STANISŁAW ROSSOWSKI.

Z CMENTARZA.

Spotkał mnie, wziął za ramię! Wyprowadził z tłumu w boczną aleję, gdzie mniej było ludzi, mniej świateł, a natomiast więcej prawdziwej jakiejś melancholii i tajemniczości.

— Smutek? — przemówił urywanym, jak zwykle, tonem. — Naturalnie! Wizyta na grobach, to nie raut! Raz przynajmniej w roku dostanie się nieboszczykom, czego łakną: westchnień kilka, łez parę.

Ale, uśmiechnął się dziwnie, czy istotnie łakną tego? Czy wogóle łakną czegokolwiek, ba, czy to naprawdę nieboszczyki?

I chwyciwszy mnie za guzik u surduta, potrząsał nim, jakby chciał stamtąd wydusić odpowiedź.

Miałem wielką chęć wyrwać mu się, ale stary dziwak zadowolony, że dopadł przecie kogoś, na czyją cierpliwość z góry mógł liczyć, ani myślał mnie puścić.

— Wiesz, co? — prawił. — I ja to przebyłem. Ano, nie wynaleźli jeszcze mądrzy eskulapi serum przeciwko żalowi i każdy musi go przebyć. Ale borykałem się, jak Izrael z Panem u brodu. Nieraz, bywało, myślę: już mnie pokonał. Płakałem, jak dziecko, łbem biłem o grób zimny... To znowu zdawało mi się, że go rozwalę, że wyrwę mu, co zabrał. No, i w końcu przecie przyszło światło i spokój...

Szelest zwiędłych liści, których wiatr nie uprzątnął z ustronnej ścieżki, akompaniował jego słowom. Ilekroć zaś od łojówki tu i owdzie w przechodzie padł nań skąpy promyk, zwracał się ten osobliwy człowiek ku mnie, jakby dla pokazania, że ma twarz pogodną.

— I wiesz, skąd to przyszło? — ciągnął dalej, stając nagle w miejscu? — Z grobu! Przyszło w taki właśnie dzień zaduszny, jak dzisiejszy, przed paru laty. Doskonale pamiętam... Pusto było już. Skwierczały dopalające się światła i szum głuchy przebiegał po cmentarzu. Bólem ran świeżo odnowionych wyczerpany, padłem na grób, jak gdybym nie miał go już nigdy odstąpić. Zrazu zimny, ogrzał się on ciepłem mego ciała, i czułem, jak to ciepło szło coraz dalej, coraz głębiej...

I miałem to wrażenie, że moje życie spływa tam, do mogiły, w pustkę czarną i głuchą, na popioły i kości, dawno już pozbawione życia.

Leżałem cichutko, czekając, rychło posłyszę chrzęst ich i ujrzę, jak z głębi wychodzi to wszystko, co przestało istnieć; wychodzi świetlane, ciepłe, żywe — a ja natomiast staczam się w dół opróżniony.

Ale w grobie było cicho i pusto.

Czułem znowu moje ciepło, moje życie, jak z zawstydzeniem powracało do mnie, nic nie zdobywszy. Znalazło próżnię i nicość. A więc gdzież jest to, co było? I mogłoż coś, co było, stać się zupełną nicością?

Korber chciał z początku spróbować raz jeszcze swojej metody „ekonomicznej.“ Myślał, że uda mu się na p. Szellu wytargować jakieś korzyści dla Przedlitawii i że stanie przed parlamentem z projektem ugody ekonomicznie i finansowo korzystnym, mówiąc do powaśnionych, obstrukcyą grożących stronnictw: „Patrzcie! Jeśli nie przestaniecie waśnić się choć na chwilę, jeśli uniemożliwicie prawidłowe funkcyonowanie naszej maszyny parlamentarnej, to ten projekt wpadnie w wodę, a Węgier za przyzwolenie na ugodę pozaparlamentarną każe sobie znowu waszą zapłacić skórą!“ Łudził się — a może tylko łudził innych, aby choć trochę zyskać na czasie. Układy, prowadzone przez całe wakacye z wielkiem często z obu stron rozdrażnieniem, dowiodły, że Szell nie chce i nie może nic z korzyści węgierskich na rzecz Austryi ustąpić. Nadeszła chwila zwołania parlamentu, a projektu ugody nie było. Wtedy p. Korber wpadł na pomysł inny: wystąpił z projektem załatwienia sprawy, jątrzącej Czechów i Niemców przeciwko sobie, z projektem uregulowania kwestyi językowej w Czechach i na Morawach.

Oto główne zarysy tego projektu: Całe królestwo czeskie zostaje podzielone na trzy terytorya: jednolicie czeskie, jednolicie niemieckie i mieszane. Za jednolite uważane są te powiaty, w których ludność, podająca przy spisie mieszkańców język drugiej narodowości krajowej za swój domowy, nie wynosi nawet 20%. Z czasem miałby też być podjęty nowy podział kraju na powiaty tak, aby były one o ile możności tylko jednojęzycznymi. W jednolitych terytoryach urzędowanie wszelkie odbywa się w jednym języku, lecz mieszkańcom drugiej narodowości przyznana jest taka ulga, że na podania w swym języku otrzymują odpowiedzi piśmienne też w swoim języku. Na terytoryum mieszanem całe urzędowanie prowadzi się w dwóch językach, czyli właściwie w języku każdego interesanta. Co do Morawii zaś, to ponieważ nie dadzą się one podzielić na terytorya narodowościowe, bo ludność niemiecka jest tam wszędzie prawie w poważnych ilościach pomieszana z czeską, więc są one całe traktowane jako terytoryum mieszane. Lecz obok tych ustępstw dla języka czeskiego projekt p. Körbera zawiera i drugą stronę: ogłoszenie języka niemieckiego za państwowy, za język pośredniczący między różnemi narodowościami, mieszkającemi w państwie, i oprócz tego za obowiązujący bezwzględnie i wszędzie we wszelkich stosunkach urzędowych z wojskowością, żandarmeryą i policyą rządową, w służbie wewnętrznej pocztowej i telegraficznej, oraz we wszystkich papierach wszelkich urzędów, które są przeznaczone dla władz państwowo-centralnych.

Prezes ministrów wezwał do siebie najwybitniejszych przedstawicieli Czechów i Niemców i wręczył im swój projekt, zaznaczając, że nie jest on niezmienny, że ma służyć tylko za podstawę porozumienia się i prosząc o życzliwe uwagi. Ale spotkał się z przyjęciem bardzo nieżyczliwem. Czesi szczególnie okazali gniew straszny. Oni nie chcą dopuścić do urzędowego odgraniczenia w królestwie czeskiem terytoryum „jednolicie“ niemieckiego; domagają się wprowadzenia całkowitej dwujęzyczności urzędów na całej przestrzeni swego kraju, jak to zrobił w swych rozporządzeniach Badeni, a prócz tego przez usta swego przywódcy, Pacaka oświadczyli w Izbie poselskiej bez ogródek, że nigdy nie dopuszczą do prawnego ogłoszenia języka niemieckiego za państwowy. Pacak posunął się aż do rzucenia Körberowi w twarz słowa: „Infamis!“ Niemcy oczywiście także nie mogli pozostać w tyle, ani okazać się bardziej zadowolonymi od Czechów, bo byłoby to przecież pośrednio uzasadnieniem niezadowolenia tamtych. Napozór więc nie posunęliśmy się ani o krok naprzód, a nawet sytuacya jeszcze się pogorszyła. Istotnie, jeśliby szło naprawdę o trwałe, prawodawcze rozwiązanie sprawy narodowościowej w Austryi, to nikt o niem nie myśli, nikt go się nie spodziewa, nawet dr. Körber, mimo swych zapewnień.

Prezes ministrów, motywując swój projekt w Izbie poselskiej, wypowiedział wprawdzie frazes, ze stanowiska prawnopaństwowego nawet bardzo ładny, mianowicie: „rozporządzenie jest szmatką papieru, prawo — tablicą żelazną.“ Ale w tem właśnie sęk, że w tem państwie żadna narodowość nie pragnie „tablicy żelaznej,“ własną ręką podpisanej w dodatku: nie pragnie wiązać się na stałe. Równowaga jest tak niestała, tak powszechnem jakieś uczucie tymczasowości, że każda narodowość, broniąca swego „stanu posiadania,“ myśli: „Ba! może jutro będziemy mogli nie ustąpić nic, albo znacznie mniej, niżby trzeba było dziś,“ a każda zdobywająca: „Ho, ho! może jutro będziemy mogli wytargować znacznie więcej!“ Więc nie trzeba dobijać targu, tem bardziej, że hasła narodowościowe są dla partyj mieszczańskich wygodnym środkiem zwalczania dążeń społecznych, i że, raz zadowoliwszy pragnienia narodowe, nie miałyby one czasu działać na masy. Więc *rozwiązania* spraw narodowościowych — jeżeli wogóle da się ono pomyśleć w granicach Austryi, jako jedności państwowej — można się spodziewać naprawdę tylko po jakimś głębokim kryzysie, zmieniającym wogóle charakter stronnictw rządowych i całego życia politycznego.

Natomiast być może, że projekt pana Köerbera jest objawem czegoś innego. Niemcy i Czesi pogodzić się na stałe nie chcą, ale kto wie, czyby się nie pogodzili na czas — jednego ministeryum. Urzędnicze ministeryum dr. Koerbera trwa już trochę za długo dla różnych wybitnych członków najważniejszych stronnictw parlamentarnych, którzy normalną rzeczy koleją pragną awansować na ministrów. Biurokratycznemu gabinetowi odmawia się już słusznego kredytu; ale nie wiadomo czy by go się odmówiło gabinetowi, złożonemu z posłów czeskich i niemieckich, któryby oświadczył, że zamierza zająć się opracowaniem możliwych zasad rozwiązania kwestyi narodowościowej — oświadczenie, istotnie, do niczego naprawdę nie obowiązujące. Oczywiście, że i Koło Polskie znalazłoby w takim ministeryum przedstawicielstwo. Tak jest: jakkolwiek wygląda to nieprawdopodobnie, to jednak zaczyna się tu wysuwać myśl takiego ministeryum koalicyjnego. Za możliwością jego przemawia jeszcze i to, że właśnie teraz trzeba będzie przeforsować w parlamencie t. zw. przykre „konieczności państwowe:“ ugodę z Węgrami, która niechybnie będzie miała charakter niekorzystny dla Austryi, oraz znaczne podwyższenie kontyngensu rekrutów, którego oddawna domaga się ministeryum wojny. Biurokratyczne ministeryum temu nie podoła, obstrukcyi nie zmoże. „Koalicya apetytów“ parlamentarnych da się zaś użyć do wszystkiego. Byłby to też rząd nawskroś reakcyjny, podług tradycyi Windischgrätza z r. 1893, i wątpliwa, czyby długo się oparł naciskowi z dołu. Jednakowoż, dla załagodzenia choć w części, choć na chwilę, opozycyi ludowej i nadania sobie blasku postępowości, być może, że rząd taki przeprowadziłby wreszcie wniesiony już przez Körbera projekt reformy prasowej, który usuwa barbarzyński, jedyny w Europie zakaz kolportowania pism i książek.

K. Radosławski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Interpelacya Romańczuka i Daszyńskiego w Izbie deputowanych wiedeńskiej Rady państwa zajęła posiedzenia d. 27—30 z. m. W rozprawach uczestniczyli prócz interpelantów Abrahamowicz, Głąbiński, Dzieduszycki, Kor-

---

Przerażenie zwróciło mi zmysły. Zaostrzyło je nawet.

Wszystkie myśli rozbiegły się czemprędzej na zwiady, pod strop nieba, po ziemi szerokiej, w niedoścignione głębie...

Nie zawiodły pościgi.

Posły wracały z wieścią znalezienia.

Znalazła się gdzieś na dnie przeszłości okruszyna szczęścia, jedna i druga, a w dali i bliżu, w powietrzu i wśród tworów żywych bujały atomy życia, które życiem już nie było.

Znalazło się wszystko, ale rozproszone, jak ziarenka — asteroidy w bezmiarach sfer kosmicznych, jak piasek ze skruszonej bryły, na milowym obszarze rozsypany.

Łzy cisnęły mi się nanowo do oczu...

Nagle jednak błyskawicą myśl pewna zajaśniała.

Czy można ściśle określić granicę pomiędzy tem miejscem, w którem znajduję się obecnie, a otaczającą je sferą; potem zaś pomiędzy tą otoczą a jej znowu otoczą itd. itd.? Nie są-ż one tak blizko jedna drugiej, że właściwie niema między niemi granicy? Nie jest-że odgraniczenie idealnym tylko wymiernikiem, linią teoretyczną? Ależ oddalenia niema, być go nie może, jeno grube narzędzia naszych zmysłów tworzą je sobie jako środek pomocniczy...

A oddalenie w czasie?

Kto potrafi oddzielić chwilę od chwili? Ta sama historya! Pomiędzy jedną a drugą chwilą nic się nie da przecisnąć — szereg więc ich, choćby nieskończenie długi, nie jest-że jedną chwilą?

Czułem, że na rozhukanych falach żalu, zjawia mi się łódź ratunkowa. Byłem ocalony.

Jakże śmieszną i marną wydała mi się nagle moja rozpacz.

Panie kochany, to wszystko nieprawda, co my sobie wyobrażamy o życiu i śmierci. Trzeba tylko wyrzucić te sztuczne luki, które stwarza pomiędzy drobinami życia i drobinami czasu nasza zmysłowość—a to, co rozproszone, skupi się i ujrzymy, że życie ono zawsze i wszędzie...

To jest, panie kochany, tajemnica nieśmiertelności; to jest, panie, balsam, który wygoił moje oczy i pozwala mi błądzić dziś po cmentarzu z uśmiechem na ustach.

Bo zapamiętaj pan sobie: tylko dla nas istnieją złudne wyobrażenia czasu i miejsca. Nie masz ich ani tam w górze, ani tam w głębi, gdzie sama jeno wszechmocność i wieczność jest prawdą...

Ale, kończył, poco ja to panu mówię?

To nie da się wpoić. To musi samo zrodzić się w człowieku. Jakże mi żal każdego, kto jeszcze nie rozumie tej prostej rzeczy.

Bo to przecie naprawdę takie proste, takie proste!..

ber, jako minister. Rozprawy stwierdziły niezbicie następujące prawdy: 1) Wynagrodzenie robotników rolnych w Galicyi jest nadzwyczaj liche; nie oznaczono jednak wysokości, do którejby podnieść je nakazywała przewyżka obecna wartości produktów nad kosztami produkcyi. 2) Agitacya, która wywołała w lecie roku bieżącego bezrobocie rolne w Galicyi wschodniej, była także polityczną, a prowadzili ją pod sterem komitetu, w którym znowu ster dzierży p. Romańczuk, seminarzyści-eksulanci. 3) Istnieje w Galicyi wschodniej sprzysiężenie przeciwko wszystkiemu, co polskie. Liczy ono na masy rusińskie i przez usta swego przedniego uczestnika, jeśli nie kierownika, nie wahało się w Izbie podczas rozpraw rzucić pogróżki, zwalając przytem z siebie odpowiedzialność za bezprawia, jakichby się masy dopuścić mogły. 4) Stronnictwo ludowe polskie w Galicyi, mające swego przedstawiciela w profesorze Głąbińskim, wyżej stawia narodowość, niż ludowość, jest absolutnie patryotycznem. 5) Stronnictwo, za którego przedstawiciela w Galicyi uchodzi p. Ignacy Daszyński, przeciwnie, jest jak najabsolutniej, czysto socyalistycznem. 6) Były i są liczne winy szlachty polskiej względem ludu bądź polskiego, bądź rusińskiego, a jej samolubstwo ekonomiczne na dziejach narodu srodze zaciężyło; ale Izba deputowanych wiedeńskiej Rady państwa nie jest forum właściwem do wszczynania spraw karnych przed trybunałem historyi, polityka zaś nie jest historyą do opowiadania tego, co było. 7) Jedyny czyn okrucieństwa, zarzuconego przez mówców rusińskich i sprzymierzonego z nimi p. Ignacego Daszyńskiego, spełniony został przez — Rusina. Powołanie się mówców przeciwnych na „ukaranie przykładne przez administratora“ — nie zadawala uczucia sprawiedliwości. 8) Rząd austryacki, potrzebując Polaków, staje na stanowisku zasadniczej prawdy, że bezrobocie było robotą polityczną komitetu rusińskiego; ale gdy mu interes, choć źle pojmowany, nakaże tę prawdę sponiewierać, gotów będzie skorzystać z politycznej centryfugi rusińskiej, aby stanowisko swe, choć źle pojmowane, wzmocnić. Niema jeszcze niebezpieczeństwa rzeczywistego, ale powinno już być przewidywane.

Po trzydniowej bitwie odrzuciła Izba żądanie komisyi parlamentarnej i wezwała rząd do wyznaczenia komisyi urzędniczej, któraby zbadała przyczyny bezrobocia. Wniosek wyszedł od Czechów.

Rząd austro-węgierski na radzie koronnej zrzekł się 20,000 rezerwistów, o których taka burza podniosła się była na Węgrzech. Na rok przyszły zamierza zażądać 20—25 rekrutów nad normę obecną.

Izba gmin uchwaliła d. 1 b. m. zasadniczy artykuł billu szkolnego 165 gł. przeciwko 69. Rozprawy trwały dni dwanaście.

Według rachunków rządu angielskiego, przywieziono napowrót do Afryki 13,000 Boerów; do końca tego roku przybędzie jeszcze 7,000 jeńców. Wszyscy złożyli już, lub złożyć będą musieli, przysięgę na wierność królowi.— Chamberlain jedzie do Afryki przez Suez; wyląduje w Durbanie.

Książę następca tronu duńskiego odwiedził cesarza Wilhelma w Berlinie. Lat już jedenaście temu złożył wizytę cesarz Wilhelm w Kopenhadze; rewizyta dość późna. Od lat kilkunastu następca tronu jest szefem pułku niemieckiego; teraz też z Berlina pojechał do niego, do Kassel. Dzienniki uderzają niepotrzebnie w wielki dzwon.

Ces. Wilhelm w Kiel przemówi tylko do nowego zaciągu marynarskiego i odjedzie do Anglii. W Poznaniu ma sobie na dawnych wałach wystawić zamek.

Somale napadli na Anglików w Bohotli, dokąd Swayne schronił się był po rozbiciu. Boerowie ofiarowują się Anglikom na dowódców.

Powstaniec Uribe poddał się rządowi kolumbijskiemu. Zatarg tego rządu ze Stanami Zjednoczonymi o kolej przez Panamę grozi poważnem starciem. Przewidują ostatecznie zajęcie międzymorza przez wielką rzeczpospolitą.

W Cieszynie wybrano do sejmu śląskiego Cienciałę i Michejdę. Nie utrzymał się znany ksiądz Londzin.

Senat francuski uchwalił 163 gł. prz. 90 uznanie dla rządu w sprawie z kongregacyami.

D. 3 b. m. zmarł w Berlinie przewódca „Freisinnige Vereinigung“ w sejmie cesarstwa, Rückert.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Demonstracye antypolskie w Bielsku. — Stanowisko względem nich różnych grup społecznych. — Za ile kupiono posłów stojałowczyków. — Agitacya antyalkoholiczna. — Robotnicy chorwaccy w Galicyi. — Upadek fabryk.

Wielkiego hałasu narobiły zajścia antypolskie w Bielsku, w mieście śląskiem, położonem na samej granicy galicyjskiej.

Podkład tych zajść jest następujący. W Bielsku od dawna rządzi niepodzielnie klika, składająca się z kilku fabrykantów miejscowych, z p. Josephym na czele. Klika ta, posiadając wpływ przemożny w radzie miejskiej Bielska, prowadziła na wielką skalę politykę korupcyjną. Na budowę koszar kawaleryi gmina, pod wpływem kliki, zaciągnęła półtoramilionową pożyczkę na jak najbardziej niekorzystnych warunkach. Pod wpływem kliki w radzie miasto kupiło lichą gazownię ze staremi rurami, przyczem okazało się, że akcyonaryuszami jej byli członkowie rady, należący do kliki. Sprawa koncesyi na restauracye i dostawy węgla otworzyła oczy najnaiwniejszym. Opozycya drobnomieszczańska w radzie miejskiej podniosła głos i zaczęła coraz silniej nacierać na klikę fabrykancką, protestując przeciwko nadużyciom, popełnianym kosztem ludności uboższej. Klika poczuła, że jej panowanie zaczyna się chwiać, więc zrozumiała, że należy uciec się do środków wyjątkowych, mianowicie do rozbudzenia szowinizmu narodowościowego, pod którego zasłoną najłatwiej robić brudne geszefty.

Kiedy ks. Stojałowski postanowił zbudować dla siebie i swej rodziny domek w Bielsku, klika fabrykancka skorzystała ze sposobności, ażeby odegrać rolę niemieckich „bohaterów narodowych“ i w ten sposób utrwalić swe chwiejące się panowanie. Ks. Stojałowski, nabywając jakąś ruderę w Bielsku, nazwał ją „Domem Polskim,“ urządził uroczyste otwarcie „placówki, zdobytej na Niemcach.“ Klika fabrykancka zorganizowała brutalną napaść na ten dom. Burmistrz Stephan wydał odezwę, wprost nawołującą do „stanowczego odparcia najazdu polskiego na niemieckie miasto Bielsk.“ Odezwa ta została w ten sposób zredagowaną, że właśnie te ustępy jej, które nawoływały do „utrzymania spokoju i porządku,“ mogły zachęcić do gwałtów.

Istotnie, turnerzy niemieccy, sprowadzeni aż z Ostrawy Morawskiej i Witkowic, poczęli obrzucać kamieniami publiczność polską, ściągniętą przez ks. Stojałowskiego. Na domu tego ostatniego wymalowano czarną świnię. Do rozlewu krwi nie przyszło jedynie z tego powodu, że robotnicy niemieccy wzięli w obronę Polaków i zapobiegli wszelkim gwałtom burszów pijanych. Przyszli oni też w znacznej liczbie na zgromadzenie publiczne, zwołane przez narodowców i zupełnie popsuli szyki „patryotom“ niemieckim, demaskując ich obłudę. Wyśmieli oni też samego polakożercę, posła Demla, który „udowodnił“ niemiecki charakter Śląska tem, że przed wędrówką narodów mieszkali tam jacyś Silingowie — wrzekomo szczep germański.

Charakterystycznem jest, jak zachowały się rozmaite grupy społeczne wobec awantury w Bielsku. Oto Koło polskie nietylko że nie wniosło natychmiast interpelacyi w tej sprawie, ale spokojnie wysłuchało interpelacyi Demla, skarżącego się w parlamencie na „inwazyę słowiańską“ na Śląsk. Tylko poseł Daszyński w mowie swej, wypowiedzianej w sprawie stosunków narodowościowych na Śląsku, napiętnował w dosadny sposób zuchwałą prowokacyę kliki fabrykantów bielskich. Prasa galicyjska zamieściła garść artykułów, pełnych oburzenia, ale na czynniki wpływowe wrażenia to nie zrobiło. Natomiast robotnicy — tak niemieccy, jak i polscy — zorganizowali w samym Bielsku poważny protest, który doprowadził do wściekłości klikę fabrykancką.

Na wezwanie organizacyi miejscowej przeszło 2,000 robotników napełniło salę „Kaiserhofu,“ a znaczna ich liczba musiała odejść z braku miejsca. Zjawili się i narodowcy niemieccy, ale znalazłszy się wobec imponującej liczby robotników, nie ważyli się przeszkadzać obradom. Pierwszy mówca, p. Arbeitel, przywódca miejscowych robotników niemieckich, w dwugodzinnej mowie wyjaśnił wszechstronnie ukryte sprężyny demonstracyi antypolskiej i nawoływał wszystkie postępowe żywioły do walki z kliką. Drugi mówca, dr. Gross, przemawiał w tym samym duchu po polsku, apelując do robotników, aby z należytą pogardą traktowali komedyę, urządzoną przez różnych Josephych itd. i nie dali się sprowadzić na drogę hec szowinistycznych.

Najcharakterystyczniejszem jest stanowisko posłów-stojałowczyków, zainteresowanych bezpośrednio, ponieważ szowiniści niemieccy występowali przeciwko nim osobiście, jako przeciwko organizatorom uroczystego otwarcia domu ks. Stojałowskiego w Bielsku. Gdyby nie byli członkami Koła polskiego, gdzie ich wprowadził ich patron, zapewne wnieśliby interpelacyę, ale dziś są najpowolniejszemi narzędziami polityki stańczykowskiej i nie mogą marzyć o uczynieniu czegoś, co by było nieprzyjemne dla rządowej większości Koła. Świeżo właśnie dowiedział się szerszy ogół, za jaką cenę kupili stańczycy stojałowczyków. Kupili ich wprost za gotówkę, jak to już niejednokrotnie działo się z posłami „opozycyjnymi.“ Mianowicie posłowie - stojałowczycy poręczyli pożyczkę 34,000 koron, zaciągniętych na zakupienie domu dla ks. Stojałowskiego w Bielsku. Pożyczki tej udzieliły dwie instytucye finansowe, pozostające w ręku konserwatystów: Bank krajowy i Towarzystwo ubezpieczeń. Dopóki stojałowczycy będą pełnili swą służbę stańczykom, o tej „pożyczce nikt naturalnie nie będzie pamiętał. Wystąpiłaby ona na scenę z chwilą, kiedy stojałowczycy zapragnęliby przejść do opozycyi.

Prof. Lutosławski, jak się zdaje, dał już spokój ośmieszającym go wykładom o t. z. „wychowaniu narodowem“ i zabrał się do propagowania abstynencyi. Objeżdża on miasta galicyjskie, wygłasza odczyty o ruchu antyalkoholicznym i zawiązuje towa-

rzystwa wstrzemięźliwości. Sympatyczna ta działalność, podjęta już wcześniej przez krakowskie organizacye robotnicze, wydaje owoce. We Lwowie powstała organizacya pod nazwą „Eleutherya," której liczba członków stale się zwiększa. Naturalnie, nieprędko jeszcze nastąpi czas, kiedy ruch antyalkoholiczny ogarnie szersze koła, ale w każdym razie początek został zrobiony, uwaga opinii publicznej została zwrócona na sprawę palącą i walka z alkoholem pozyskała energicznych prozelitów.

A wielki już czas było po temu. W miastach galicyjskich, wśród sfer, na które właśnie ma przedewszystkiem oddziaływać propaganda abstynentów, pijaństwo szerzyło się i szerzy w zatrważających rozmiarach. Jak gorzelnictwo w Galicyi jest jedyną, na trwałych podstawach opartą gałęzią przemysłu, tak też szynkarstwo stanowi najbardziej rozwinięty dział handlu. W takim Lwowie np. niema dnia prawie, ażeby nie powstawał jakiś zakład pijaństwa. Trzeba bowiem wiedzieć, że po za restauracyami i szynkami w Galicyi trunków można dostać niemal wszędzie. Nietylko w tak zwanych „handlach," ale w mleczarniach, kawiarniach, cukierniach itp. można się upić. We wszystkich państwowych i autonomicznych urzędach istnieją bufety pokątne. W sklepikach z „wodą sodową" odbywa się wyszynk trunków na szerszą skalę. Nawet baby, roznoszące bułki, lub „preclarze" (sprzedający specyalny gatunek obwarzanków) prawie zawsze mają w zanadrzu flaszkę z wódką. Ten pokątny handel trunkami wyskokowymi przybrał takie rozmiary, że korporacya szynkarzy wdraża akcyę w celu ukrócenia tej konkurencyi, która doprowadza wielu z nich do bankructwa. Wyniki tej akcyi mogłyby mieć pewne skutki dodatnie, chociażby z tego względu, że szynki i restauracye, dozorowane przez odpowiednie władze, nie mogą przynosić tyle szkody, co tajny wyszynk pod pozorem sprzedaży wody sodowej lub mleka. Dlatego też akcya ta została sympatycznie przyjęta przez zwolenników abstynencyi. I szkoda tylko, że wszelkie usiłowania w tym kierunku muszą pozostać bez skutku, dopóki w kraju czynnikiem rozstrzygającym będzie warstwa gorzelników-właścicieli posiadłości ziemskiej. W ich to interesie leży jak największe pijaństwo ludności, i pijaństwa tego będą oni bronili wszystkimi dostępnymi im środkami. A środków tych mają niemało. Wszak już bywały wypadki, że ksiądz rusiński, nakłaniający włościan do wstrzemięźliwości, o ile wywierał wpływ znaczniejszy, ulegał nietylko szykanom, ale prześladowaniom. Na żądanie obszarników przenoszono takich propagatorów wstrzemięźliwości do ubogich parafii górskich, denuncyowano ich itd. Nie naprożno „święta karczma" stała się w oczach konserwatystów jakiemś palladium narodowem.

Czego zresztą reakcya nie podciąga pod miano interesu „narodowego"! Obszarnicy wschodnio-galicyjscy starają się wmówić całej opinii publicznej, że interesem „narodowym" jest płacenie robotnikom rolnym po 14 centów za pracę całodzienną, i że wszelkie domaganie się wyższej płacy przez robotników jest „zbrodnią przeciwko narodowi polskiemu." Od tej zbrodni ma bronić obszarników całe społeczeństwo, według zdania organów konserwatywnych, bo jeśli społeczeństwo nie wpłynie na to, aby chłop z zadowoleniem brał 14 centów dziennie, to „placówki narodowe" na Rusi zginą. Jakkolwiek znaleźli się w społeczeństwie ludzie dość naiwni, którzy uwierzyli, że „placówki," opierające się na 14 centach płacy dziennej, posiadają jakąś wartość, to jednak obszarnicy niewiele sobie widać robią z tej wiary i płynącej z niej pomocy niektórych organów, nienależących niby do chóru stańczykowskiego. Szukają oni innego wyjścia z kłopotliwego położenia. Wyjścia tego „narodowem" nazwać niepodobna, ale obszarnicy „narodowem" nazywają tylko to, co przynosi korzyść ich kieszeni, a o to, co tam może sobie myśleć nieherbowa hołota, nie dbają.

Oto prezes lwowskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego, p. Krasiński, podał pomysł użycia robotników chorwackich. Pomysł ten ogromnie się spodobał obszarnikom, którzy wysłali do Chorwacyi agenta w celu dostarczenia stamtąd tanich rąk roboczych. Zakontraktowano więc „na wszelki wypadek 5,000 robotników chorwackich. *Czas*, *Przegląd* i *Gazeta Narodowa* ogromnie chwalą sam pomysł i z radością podnoszą fakt niesłychanie nizkiego poziomu wymagań tych robotników. Nie mówiąc już o nadzwyczajnie lichym wikcie, jakiego żądają Chorwaci, obszarnicy galicyjscy zachwycają się głównie tem, że pomieszczenie w lecie mogłoby być *natury jak najprymitywniejszej.* W ciepłe dni robotnicy gotowiby spać nawet pod gołem niebem, w dni słotne lub chłodniejsze — w szopach. W jesieni, ze względu na różnice klimatyczne, jakie zachodzą między Galicyą a Chorwacyą, należałoby *skonstruować* dla wynajętych robotników *prymitywnej natury baraki.*

Tak więc „nienarodowem" jest wypłacenie miejscowemu robotnikowi rusińskiemu czy polskiemu 20—30 centów, *narodowem* zaś — sprowadzenie robotników zagranicznych, aby miejscowi ginęli z głodu lub emigrowali.

Od dawna już do najpopularniejszych należy tu hasło uprzemysłowienia Galicyi. Tymczasem, pomimo niezliczonych artykułów dziennikarskich w tej sprawie, ankiet, zgromadzeń i zjazdów, wielki przemysł jak nie chce, tak nie chce ugruntować się w Galicyi. Niedosyć na tem, nie mija miesiąc, aby w prasie nie stwierdzono upadku jednego z istniejących zakładów przemysłowych. We Lwowie niedawno upadła krajowa fabryka wody sodowej „Zdrowie," wkrótce potem nastąpił krach fabryki maszyn „Perkun," obecnie przyszła kolej na „Zjednoczone fabryki syropu i cukru." Fabryka ta, założona przed półtora rokiem, była stowarzyszeniem zarobkowem, prowadzonem przez ludzi, niemających pojęcia o danej gałęzi produkcyi. Za wskazówkami dyrektora fabryki, niefachowca, sprowadzano i odstawiano najrozmaitsze maszyny, wyrzucano pieniądze na prawo i na lewo, aż wyczerpano kapitał zakładowy, i zaczęły się kłopoty finansowe. Główny członek towarzystwa, hr. Wiśniewski, podpisywał coraz to nowe weksle, nareszcie sprzykrzyło mu się to i postanowił nie dawać więcej pieniędzy. Fabryka więc zbankrutowała.

Daleki.

Nasi argonauci.

Zamierzam tu mówić o tych, coraz liczniejszych, niestety, w ostatnich czasach zastępach ziomków naszych, którzy porzucają nieopatrznie kraj i stałe, a często względnie dobre nawet posady, dla większej o kilkaset rubli pensyi na krańcach Syberyi, lub, co gorsza, jadą tam na własne ryzyko, bez określonego z góry planu, gdzie i co robić będą. Zaślepiają ich zwykle przesadne wiadomości o wysokich zarobkach i łatwych jakoby warunkach bytu na Syberyi, wiadomości, rozsiewane lekkomyślnie przez ludzi o bujnej fantazyi, nie chcę sądzić, by ze złej woli, lecz ot, tak sobie, z wrodzonej nam skłonności do przesady.

Przemieszkawszy lat kilka na Syberyi i poznawszy mniej więcej dokładnie stosunki tutejsze, pragnę publicznie poruszyć tę ważną dla społeczeństwa sprawę, ufając, że trochę cyfr i spostrzeżeń, zaczerpniętych na miejscu, ostudzi może zapał chociaż niektórych naszych argonautów, pędzonych złudną nadzieją zebrania w krótkim czasie kapitałów aż hen, daleko, na krańce Azyi......

Nie mając pretensyi, by artykuł ten był wyczerpujący, pragnę rozważyć tu tylko bezstronnie, czy zyski i korzyści z pobytu ziomków naszych na Syberyi wynagradzają chociaż w drobnej części cały ogrom strat, jakie pociąga za sobą ich wyjazd. Nawiasem dodam, iż mówić tu będę tylko o Syberyi Wschodniej; stosunki i warunki bytu w Syberyi Zachodniej nie są mi dokładnie znane.

Polaków, dobrowolnie tu zamieszkujących, podzielić można na cztery kategorye: kapitalistów - aferzystów, rzemieślników, urzędników i ludzi bez określonego fachu, robiących, co się da i gdzie się da. Losy pierwszych dwóch kategoryi nie są mi dobrze znane, z konieczności więc pominę je milczeniem; mówić zaś będę tylko o dwóch ostatnich.

Polacy-urzędnicy zajmują tu przeważnie posady sędziów pokoju, sędziów śledczych, lekarzy powiatowych, inżenierów, weterynarzy, inspektorów podatkowych, wreszcie urzędników na kolejach już zbudowanych i na budującej się drodze Naokołobajkalskiej, pobierają więc przeciętnie od tysiąca do czterech tysięcy rubli rocznej pensyi. Te właśnie względnie wysokie uposażenia wprowadzają w błąd nieobeznanych z warunkami tutejszymi.

Taki nowoczesny argonauta, wyjeżdżając, jest zazwyczaj pełen najróżowszych nadziei. Mówi też zwykle z wielką pewnością w głosie: „Pobierać tam będę o tysiąc rubli rocznie więcej, niż w Warszawie, wszystko tam zapewne tanie, będzię można zatem robić ogromne oszczędności. Po pięciu lub sześciu latach wrócimy do kraju z pokaźnym kapitalikiem."

Jak dotąd wszystko bardzo pięknie, szczególniej, jeżeli wierzyć można w szczerość zakończenia.

Niestety, wydaje się to tak pięknem tylko w Warszawie i w drodze; naprawdę bowiem zaraz pierwsze dni po przyjedzie na Syberyę przekonać muszą największego optymistę, że drożyzna tutejsza nietylko o ogromnych ale nawet o skromnych oszczędnościach nie pozwala nawet zamarzyć. Cała więc misterna budowa planów na przyszłość upada sama przez się.

Nie chcąc być gołosłownym, przytaczam niżej przeciętny budżet roczny rodziny, złożonej z 3 lub 4 osób.

Za mieszkanie, składające się z trzech, lub czterech pokojów i kuchni, we wszystkich niemal miastach Syberyi Wschodniej trzeba płacić od 30 do 40 rubli miesięcznie, a będzie to w dodatku mieszkania bez wszelkich wogóle udogodnień. Zwyczajem syberyjskim będzie ono wprawdzie umeblowane; umeblowanie to jednak zaczyna się i kończy na kilku stołach, kilkunastu krzesłach i jakiej takiej kanapie lub łóżku. Meble te mogłyby może zadowolić Spartańczyka, zwykłemu jednak śmiertelnikowi, mającemu zwyczaj chowania bielizny w komodzie, wieszania ubrania w szafie, a nie na gwoździu, mającemu zdrożne przyzwyczajenie czesania się przed lustrem i odpoczywania szarą godziną w fotelu, — stoły i krzesła tylko, chociażby w najpokaźniejszej liczbie, nie wystarczą. Na zaopatrzenie się zaś w szereg sprzętów, uważanych przez nas za niezbędne, najprostszych, nie mających, oczywiście, nic wspólnego nawet z konfortem, trzeba będzie wydać przynajmniej z jakie pareset rubli. Do tego dodać jeszcze należy jakie kilkadziesiąt rubli na zakupienie sprzętów i naczyń kuchennych. Chcąc zaś urządzić

mieszkanie jakotako po europejsku, trzeba znów będzie wydać z pareset rubli na dywany, etażerki, lustra itd. itd. słowem, na sam początek trzeba mieć gotówki najmniej jakieś 500 rubli. Urzędnikom wyjeżdżającym na posadę już po zamianowaniu, ułatwia o wiele zagospodarowanie się zwyczaj wypłacania przez rząd na wyjezdnem prócz t. zw. „progonnych“ (pieniądze na przejazd), pewnej kwoty na urządzenie się (t. zw. „podjomne“)!

Gorzej rzecz ma się z tymi, którzy jadą na Syberyę dla polepszenia bytu na własne ryzyko. Zmarnowawszy przed wyjazdem za bezcen wszystkie meble i rzeczy, widzą ze smutkiem, że w tej ziemi obiecanej, jaką spodziewali się znaleźć w Syberyi, trzeba wydać na zakupienie nowych sprzętów cztery lub pięć razy więcej, niż otrzymali za stare; lata więc całe obchodzić się będą musieli bez tego wszystkiego, do czego od dzieciństwa przywykli. Liczmy dalej.

Na „życie,“ wobec cen na miejscowe produkty spożywcze nie niższych bynajmniej, niż w Warszawie, a w niektórych miastach potwornie nawet wysokich (w Błagowieszczeńsku, Władywostoku, Czycie, Chabarowsku itd. mięso sprzedają po 10—30 kop. funt, butelka mleka (3 szklanki) kosztuje 20—30 kop., jaja 3—7, a nawet 10 kop. sztuka itp.), trudno jest wydawać przy 3 lub 4 osobach w domu mniej nad 80—100 rubli miesięcznie, zwłaszcza, że wszelkie warzywa, jarzyny, owoce sprzedawane tu są bajecznie drogo, a ceny towarów sprowadzanych niemal dwa razy wyższe, niż u nas. (Cukier np. do niedawna kosztował po 30 kop. funt).

Nie od rzeczy też będzie dodać, że większość urzędników tutejszych, wobec olbrzymich przestrzeni, spędza znaczną część roku w rozjazdach, co też pociąga za sobą niemałe wydatki.

Służąca, a raczej służące, niema tu bowiem zwyczaju trzymania t. zw. u nas sług do wszystkiego, są również droższe, niż u nas.

Zwykła miesięczna pensya służącej waha się tu od 6 do 10 rs., dochodzi nawet do 15 i wyżej, zależnie, rozumie się, od stopnia jej uzdolnienia. Ponieważ zaś nawet rodziny, składające się z dwu osób, nie trzymają tu mniej nad dwie służące, na pensye więc dla t. zw. „striapki“ (kucharki) i pokojówki (nic nb. nie umiejących) wychodzi najmniej 15 rs. miesięcznie. Nawiasem mówiąc, do mycia podłóg i prania bielizny trzeba jeszcze najmować oddzielnie, co znów wyniesie jakie 5 rubli na miesiąc.

Do niezbędnych wreszcie wydatków należy jeszcze opał i „światło.“ Ceny drzewa w większych szczególnie miastach wahają się od 5 do 8 rubli za sążeń w jeden rząd układany (t. zw. „jednopolanowy“), a niekiedy dochodzą nawet do 10 rubli. Na opał więc wypadnie wydać 100—200 rubli rocznie, i to lekko licząc, gdyż przy tutejszych mrozach dochodzących do 40 stopni, nie byle jak palić trzeba. Świece płacimy wreszcie po 30—35 kop. funt, naftę 7—10 kop. funt (w zeszłym roku jeszcze płaciliśmy ją po 20 kop. funt). W przybliżeniu więc otrzymujemy taki rachunek roczny: Na mieszkanie 400—600 rb., na życie 960—1200 rb., na służbę 200—300 r., na opał 100—200 rb., na światło 40—60 rb., razem 1,700—2,360 rb. Tak więc od dwóch do trzech tysięcy rubli rocznie wynoszą niezbędne wydatki. A gdzież jeszcze wychowanie i kształcenie dzieci, ubranie, prenumerata pism, przyjmowanie gości, rozrywki itp.? — Ile będzie kosztowała nauka dzieci, można sądzić z tego, iż zwykła cena korepetycyi w klasach niższych waha się między 20 a 30 rublami miesięcznie za godzinę dziennie. Wszystkie więc te wydatki wyniosą niemal drugie tyle. Jakież wobec tego mogą być owe spodziewane oszczędności?

Dla społeczeństwa jednak naszego to, że jakiś pan X lub Y nie zbierze, jak zamierzał, dziesięciu czy dwudziestu tysięcy rubli, jest sprawą mniejszej wagi, tembardziej, że i dobre zużytkowanie tych pieniędzy wydaje nam się dosyć wątpliwem.

(D. n.)

Mar. Wys.

FEJLETON.

Książka Weresajewa.

Wielbią jakąś książkę? Stawiają za wzór? Ależ zabierzcie ją sobie, to musi być rzecz stara i nudna. Wyklinają ją? Uważają za zgubną? Ależ dajcie ją a żywo, to musi być coś niezwykłego.

Do takich wniosków coraz częściej dochodzi publiczność pod rządami „szóstego“ czy „siódmego“ mocarza o potrójnem ramieniu: reklamy, recenzyi i krytyki. Prasa drży wciąż o społeczność, jak mamusia o jedynaka, żeby się nie przeziębił, żeby się nie dostał pomiędzy złe towarzystwo. Prowadzi go tedy na pasku, choć z synka już drągal. Prasa mniema, że takiem złem towarzystwem społeczności są różne książki; że po ukazaniu się Augusta Dide'a „La fin des religions“ runą kościoły, a po ukazaniu się Weresajewa „Spowiedzi lekarza“ opustoszeją kliniki i ludzkość na cztery wiatry rozpędzi profesorów medycyny z ich alumnami.

Ale prasa jest tylko wyrazem usposobienia pewnych wpływowych grup społecznych. Jej drażliwość jest tylko drażliwością owych grup. A więc grupa, zajmująca się dostarczeniem społeczeństwu idei moralnych, będzie silnie występowała przeciw każdemu, kto ośmieli się przekroczyć granicę jej urojonych praw i sprobuje tłomaczyć społeczeństwu, aby samoistnie nad moralnością rozmyślało. Grupa, organizująca w społeczeństwie pracę, będzie stale nie dopuszczała do głosu ludzi, mających odmienny pogląd na tę organizacyę, czego dowodem np. Galicya, gdzie panowie nie dopuścili do sejmu kuryi piątej, choć uczyniła to już Austrya, otwierając jej podwoje parlamentu.

Drażliwość tego rodzaju tkwi jeszcze głębiej. Podlegają jej wprost różne stany. Księża nie lubią, żeby o nich pisać; nie lubią tego adwokaci, lekarze. Rozumie się, że taka chińszczyzna zawodowa jest zgubna: szkodzi księżom i społeczeństwu, adwokatom i społeczeństwu, lekarzom i społeczeństwu, więc każdemu z osobna i wszykim razem.

Nie lekceważymy lekarza. Ma on u nas swoją historyę, a na jej kartach zapisane liczne zasługi. Do społeczności naszej, karmionej przez długi czas lichą filologią i jeszcze lichszą historyozofią, wniósł lekarz pogląd przyrodniczy na świat i życie. Do społeczności naszej, przyznającej tytuł obywatela wyłącznie szlachetnie urodzonemu rolnikowi, wniósł lekarz nowe pojęcia społeczne o pracy i godności ludzkiej. Nim piśmiennictwo poczęło siać myśl nowożytną, lekarz działalnością swoją przygotowywał glebę surową, pługiem życia swego orał ten step umysłowy.

Lekarz robił i zrobił u nas wiele. Ale jeżeli kto, to właśnie on chyba wie, że wszystkiego zrobić nie może. W ciągu swej działalności uderza ustawicznie o przeszkody, których nie usunie; spotyka się z nędzą, z ciemnotą wiejską i miejską, z wadliwemi urządzeniami społecznemi; jego recepty nie usuną gnojówek z przed chałup chłopskich, nie skanalizują osad wiejskich, nie przewietrzą fabryk i nor rzemieślniczych, nie zamienią się na ciepłą odzież dla biedaków, ani w kromkę chleba, ani w kawał mięsa; nieraz cała jego wiedza staje bezradnie wobec życiowych warunków. On to wie doskonale!

Czy zatem pod tym względem książka Weresajewa, zresztą nie pierwsza tego rodzaju, jest zdradą tajemnic zawodowych, czy poruszeniem wielkiego zagadnienia społecznego? Pytam uczciwych czytelników tej książki, nie tych, którzy po przeczytaniu kilkunastu stronnic już mają coś o niej do powiedzenia, ale tych, którzy po sumiennem jej zgłębieniu rozmyślali nad nią? „Życie twarde, olbrzymie, potężne, bezustannie wypełnia okrutne, ślepe przeznaczenie swoje; a tam hen, u jego stóp, uwija się bezsilna medycyna, ustalając swoje hygieniczne i terapeutyczne normy.“ „Jakże marne są środki, któremi usiłuje naprawić to, co tak do gruntu skażone zostało przez życie! Wielki Człowiek wisi na krzyżu, ręce i nogi ma przebite gwoździmi; a medycyna obmywa krwawe rany arniką i przykłada do nich zioła aromatyczne.“ „Niema żadnej nauki, któraby uczyła goić rany z tkwiącymi w nich gwoźdźmi, nauka może tylko wskazać, że przedewszystkiem należy z ran powyciągać gwoździe. Według badań Villerme'a, połowa dzieci tkaczy w Milhuzie umiera przed 15 miesiącem życia itd. itd.“

Weresajew mógłby równie dobrze książkę swą zatytułować „Z zagadnień społecznych“ albo „Stosunek lecznictwa do życia ludzkiego.“ Tytuł „Spowiedź lekarza,“ zresztą całkiem trafny i uzasadniony, dał pochop różnym krytykom do sprowadzenia dyskusyi wyłącznie na tor zagadnień drugorzędnych.

Więc posypały się zarzuty: Weresajew jest złym lekarzem. Dobrze, odbierzmy mu patent. Ale pozostaje jeszcze książka o złych lekarzach, którzy się nie zdradzą publiczną spowiedzią. Inny zarzut: Weresajew zbyt uogólnił niektóre fakty. Dobrze, odrzućmy je. Ale pozostanie jeszcze spora książka o faktach, których zbytnio nie uogólnił, jak np. własnowolne doświadczenia na chorych, o czem czytujemy nawet w naszem piśmiennictwie zawodowem. Inny jeszcze zarzut: Weresajew przedstawia lekarzy w złem świetle. Nieprawda, niekiedy pisze o nich, jak o bohaterach, filantropach. Wreszcie zarzut: Weresajew głosi rzeczy stare! Więc czemu się oburzacie? Ale i to nieprawda: głosi rzeczy stare dla zawodowców; dla publiczności są one niesłychanie nowe.

Wykładają nam w domu, w szkole i na każdem miejscu, że człowiek jest koroną stworzenia. „Z rąk natury wszystko wychodzi doskonałe“ apostołował Rousseau. Nieprawda, woła Weresajew do publiczności. „Chwila obecna zaskoczyła człowieka w pewnym okresie ewolucyi jego, z mnóstwem najrozmaitszych braków, z niedorozwojem różnych narządów, oraz z rozmaitymi przeżytkami: został jakby porwany z pracowni przyrody w najgorętszej chwili swego tworzenia się, niewykończony, niewygładzony.“ O tem wszystkiem publiczność „ukształcona“ niema pojęcia, a jednak żyje według powyższej zgubnej maksymy.

Panowały na ziemi lwy i tygrysy. Przyszła, żeby się grzecznie wyrazić, *simia*, sporządziła sobie łuki i dzidy, wytępiła drapieżce, następnie zrzuciła sierć a wdziała szewiot i kamgarn, obcięła ogon, ale nie zdołała wyciąć sobie ślepej kiszki, więc jeżeli np. połknie pestkę śliwki, to może się nabawić zapalenia i umrzeć. Powiadają, że najlepiej byłoby zaraz po urodzeniu wyciąć każdemu tę zbyteczną ślepą kiszkę.

Ale niech lekarze rozciągną całą ludzkość na jednym wielkim stole operacyjnym! Organizm nasz bynajmniej nie jest koroną pomysłów przyrody, ale znaduje się w stanie przejściowym; człowiek już odzwyczaił się chodzić na czworakach, ale jeszcze nie całkiem przystosował się do chodzenia prosto. *Simia* miała lepszy mózg, a widząc, że dzięki temu odnosi liczne zwycięztwa, zrzekła się silnych mięśni, subtelnych zmysłów, zwinnego i zahartowanego ciała i „spoczęła na łonie przyrody w charakterze wydelikaconego letnika.“ „Człowiek ucywilizowany obojętnie kładzie na nos okulary, traci mięśnie i zrzeka się ciężkiej strawy; czy jednak nie przeraża go perspektywa noszenia się z flakonem zgęszczonego tlenu, otulania w mieszkaniu rąk i twarzy, wstawiania do nosa płytek uczulających, a do uszu rurek akustycznych?“ „Korzystając z dobrodziejstw cywilizacyi, nie wolno zrywać ścisłego związku z przyrodą!“

Śród tej fałszywej cywilizacyi chodzi lekarz ze swą medycyną od domu do domu. Cała jego działalność jest tylko półśrodkiem. Prawda, nie lekarz, ale lekarze, wiedza lekarska, potężne instytucye, stowarzyszenia, jednem słowem cały stan! Ale czy ten stan organizuje cywilizacyę? Czy wpływa na drogę ekonomiczną, po której stąpa ludzkość? Czy stwarza warunki społeczne? On wraz z całą swoją wiedzą jest tylko małą cząstką tej ludności. Sam nic nie zrobi. A jeżeli w dodatku całe bogactwo swoich spostrzeżeń i doświadczeń ukryje przed ludzkością to i ona nic nie zrobi. Weresajew, który zdał sobie sprawę z doniosłości tego zagadnienia, napisał alarmującą książkę; krytycy, którzy tego zagadnienia nie zrozumieli, podnoszą alarm przeciwko niemu.

Mamy więc tezę podstawową: ludzkości jest potrzebny nie uzdrawiacz chorób nieuleczalnych, ale doradca przyrodniczy, który wskaże, jak się społecznie urządzać, aby nie chorować. Jednem słowem ludzkości jest potrzebny fizyolog a nie patolog, czy terapeuta.

Tak, to są rzeczy stare i znane! Każdy prawie doktorand, piszący rozprawę, umieszcza na końcu swej książeczki (poświęconej „moim rodzicom“) podobną tezę. Tymczasem ci rodzice po dawnemu czekają z chorobą „aż będzie gorzej“ i choć mają „tam na uniwersytecie“ tak uczonego syna, posyłają po lekarza dopiero wtedy, kiedy możnaby już śmiało posłać po agenta zakładu pogrzebowego.

Zwykle sądzimy, że to, co się znajduje w „Virchow's Archiv“, jest już własnością „publiczną.“ Nie, to jest tylko w „Virchow's Archiv“! Gdyby ludzkość istotnie wiedziała o tem wszystkiem, co tam zostało wydrukowane, może całkiem inaczej poczęłaby cenić wiedzę medyczną i jej przedstawicieli!

A jak wszechnice wychowują lekarzy? Tu Weresajew odsłania nam krwawą kartę. W audytoryach ścisk, student wszystko przeważnie tylko „widzi.“ Z głową pełną teoryi i z niewyrobionemi rękami młody lekarz rusza w świat, aby się na trupach swych pacyentów nauczyć, „czego nie trzeba robić“. „Komu przyszłoby do głowy posyłać na wojnę żołnierzy, którzy tylko widzieli, jak inni strzelają, lecz sami nigdy w ręku karabina nie mieli? Tymczasem lekarze wszędzie idą nietylko na pole bitwy, lecz wogóle w życie, jak niezręczni nowozaciężni, którzy nie umieją władać swoją bronią.“ Pragnęliby jednak kształcić się dalej, ale brak im środków. Kto pomyśli o nich, kto im pomoże? Ludzkość? Ona patrzy na ich naukę obojętnie, ta sama ludzkość, która owych niedouków zaraz po wręczeniu patentu wzywa do łoża chorego... A gdyby ludzkość istotnie dowiedziała się o tem wszystkiem, czy nie zapragnęłaby w swoim własnym, w swoim najżywotniejszym interesie, dać lekarzowi wszystkich warunków, niezbędnych dla osiągnięcia przybliżonej doskonałości zawodowej? Weresajew mniema, że tak, i pisze książkę. Krytycy jego nie posiadają dowodów na poparcie zdania przeciwnego, ale występują przeciw niemu. Dlaczego?

Zdaje się, że jest to odruch czysto mechaniczny. Krytycy Weresajewa powtarzają odwieczne zdanie, że kto lekarzowi ufa, jest już przez pół uzdrowiony. „Spowiedź“ rzekomo podkopuje zaufanie, więc jest szkodliwa. Aczkolwiek książka Weresajewa bardzo mi się podoba, to jednak jestem głęboko przekonany, że jeśli zwichnę rękę lub dostanę tyfusu, poślę bezzwłocznie po lekarza, a gdy środki pozwolą, to nawet po dwóch!

Lekarz nie może się ze swemi tajemnicami odciąć jakąś granicą od społeczności ludzkiej. Przeciwnie, winien się starać, aby ogół posiadał znaczną część jego wiedzy i ocenił należycie doniosłość jego doświadczeń. Inaczej bowiem poczną się zaraz tworzyć sentymentalne stowarzyszenia przeciwników wiwiseksyi, będą powstawały najniedorzeczniejsze projekty do praw, będzie panowało pod ucywilizowaną formą zamawianie i komarowe sadło, będą fabryki, gminy i miasta robiły „oszczędności“ w budżetach na „pomocy lekarskiej,“ a medyk będzie uważany za jakiegoś „płanetnika“ w tużurku i cylindrze.

Weresajew wygłasza bardzo starą myśl, że lekarze uczą się na biednych, jak leczyć bogatych. I czy ta „stara“ niesprawiedliwość niepowinna być przedmiotem poważnej dyskusyi? Czy jest to, pytamy znowu, zdrada tajemnicy zawodowej, czy poruszenie doniosłego zagadnienia społecznego?

Weresajew powiada: „Tysiące pudów zboża i mięsa gnije, nie znajdując kupca; a jednocześnie tysiące ludzi mrze z głodu, nie znajdując pracy. Krew leje się strumieniami w celu zdobycia na odległych krańcach ziemi nowych rynków dla sukna i atłasów, a ci, którzy wyrabiają te sukna i atłasy, chodzą w perkalu i barchanie. Połowa ludności Rosyi chodzi bez butów, czy dlatego, że za mało jest szewców? Mamy około 20,000 lekarzy; ludność zaś Rosyi wynosi 128 milionów! Czyż można wobec tego mówić o nadprodukcyi!? Lekarz ziemski pobiera nędzną pensyę, ale wieś nie może przecież ze swej czarnej kromki chleba stworzyć dla niego mięsa i wina. Powinniśmy się łączyć i walczyć, naturalnie! Ale kto „my“? Lekarze? Trzeba szukać innego wyjścia. Polega ono na świadomości, że jesteśmy tylko niewielką cząstką ogromnej, niepodzielnej całości, że tylko w jej losach i powodzeniu możemy upatrywać los osobisty i własne powodzenie.

Nie jestem lekarzem, o medycynę Weresajewa spierać się nie będę; ale gdy przeglądam krytyki, wymierzone przeciw „Spowiedzi,“ to odbieram zupełnie wrażenie, jak gdyby autorowie ich ustępów powyższych wcale nie czytali! Spierają się z Weresajewem o rzeczy podrzędne, pomijając całkiem zasadniczą myśl książki.

Niektórzy, uderzeni talentem pisarskim Werasajewa, zaliczyli jego „Spowiedź“ do rzędu sensacyjnych nowości beletrystycznych. Uczyniono wielki zaszczyt beletrystyce. Ale zręczne powiedzenie może być swoją drogą bardzo niesprawiedliwem powiedzeniem. Książkę tę pisał człowiek bystrego umysłu spostrzegawczego, wielkiej szczerości i bujnych uczuć obywatelskich.

Andrzej Niemojewski.

PAMIĘTNIK.

Frazes.

Zarówno w komisyi teatralnej, jak w głosach prasy naszej tłomaczono niepowodzenie kasowe opery warszawskiej tem, że ona nie jest polską, że publiczność unika teatru, w którym słuchać musi śpiewów językowo dla niej niezrozumiałych — włoskich. Rzeczywiście, dzięki przekonywającym wywodom A. Sygietyńskiego i staraniom Bandrowskiego pomnożono liczbę dzieł z tekstem polskim. I oto po rocznem blizko doświadczeniu *Warsz. Dziennik* wystąpił z artykułem, w którym wykazuje, że to spolszczenie opery warszawskiej bynajmniej nie ściągnęło do niej zapowiadanego tłumu słuchaczów i nie odbiło się zwiększeniem dochodów w kasie teatralnej, która nawet straciła na tej zmianie. W kilku dziennikach usiłowano odeprzeć argumentacyę *Dziennika* i związać fakt z innemi przyczynami: z brakiem pierwszorzędnych sił w personelu polskim, ze słabą muzykalnością Warszawy, z jej nałogiem do podziwiania „gwiazd“ itd. Wszystko to potrosze współdziała, ale głównym sprawcą obojętności ogółu na przedstawienia oper śpiewanych po polsku jest — według nas — płytki, głęboko nieodczuty frazes, który staje się zbyt często sprężyną naszych czynów. Nasz patryotyzm wisi ciągle na końcu pióra lub języka, ale do serca spływa rzadko. Gdyby niektórzy członkowie komisyi teatralnej i publicyści, zapewniający, że spolszczenie libret rzuci masy na przedstawienia operowe, pamiętali byli o wielu podobnych rachubach i zawodach, gdyby uprzytomnili sobie, że na owe przedstawienia uczęszczają przeważnie kobiety, wymagające niezbędnie czarującego śpiewaka, którego trupa polska nie posiada, gdyby przypomnieli sobie, że nasz ogień przez chwilę może świat spalić, a przez rok pieca nie ogrzeje — byliby ostrożniejsi w swych przewidywaniach i wróżbach. Nie starajmy się więc obalić smutnego faktu, ale powiedzmy sobie szczerze i głośno: frazes, który wylatuje w górę jak rakieta, szybko pęka i gaśnie, frazes porusza nasze uczucia i myśli, frazes również kazał nam się domagać języka polskiego w operach i frazes nas od nich odstręcza. I to jest najsmutniejsze, że on zawsze nami rządzi.

Statystyka lekarzy.

Goniec Łódzki dokonał ciekawego obliczenia lekarzy u nas w stosunku do ludności. Na 10,119,000 mieszkańców Królestwa przypada 1,774 lekarzy, czyli jeden na 5,688. Z wyjątkiem Cesarstwa we wszystkich innych krajach stosunek procentowy jest większy, nieraz po kilkakroć. Tak np. w Anglii wynosi 63,8 (u nas 17,4); gdybyśmy zatem chcieli jej dorównać, musielibyśmy posiadać 6,443 lekarzy. To też *Goniec* nazywa „bajeczką“ twierdzenie, jakoby u nas objawiła się „nadprodukcya inteligencyi.“ Twierdzenie takie jest nietylko bajeczką, ale niedorzecznością zawsze i wszędzie, bo nie można mieć za wiele ludzi ukształconych, jak nie można mieć za wiele zdrowych. Ażeby wszakże „dorównać“ Anglii lub innemu społeczeństwu pod względem lekarzy, niedość wypuścić z uniwersytetu pewien zastęp medyków, trzeba wprzódy za pomocą oświaty i dobrobytu przygotować ogół do szukania u nich porady. Zwłaszcza nasz lud wiejski stale jej unika, bądź z nieufności, bądź z biedy. Zwyczajnego chłopa nie stać na zapłacenie kilku rubli lekarzowi za przyjazd z miasta: takiego zbytku mogą sobie pozwolić tylko zamożniejsi. Więc nie olśniewajmy sobie oczu Anglią i krajami

wysokiej kultury. Takie wzory pozostaną jeszcze długo snem fantastycznym, który nie urzeczywistni się prędzej, aż lud będzie miał obfity chleb i dobrą szkołę.

Austryak warszawski.

Pan Kaprys-Rabski ma sobie za punkt honoru przegadać nawet p. Gawalewicza, Ostrowidza i Sp., więc też, gdy wszystkie możliwe i niemożliwe tematy i zagadnienia teatralne wyczerpią mu się chwilowo, a opiekuńcze losy nie ześlą żadnego jubileuszu lub sporu o Morskie Oko, zaczyna z rozpaczy rozmawiać przez sen i na jawie sam z sobą. Świeżo właśnie, w drodze między Lwowem a Krakowem, przyśniła mu się rozmowa z jakimś młodym posłem galicyjskim, który „nie przemawiał jeszcze ani razu w parlamencie, lecz już odgrywa wybitną rolu w życiu publicznem Galicyi“ i jest co najmniej tak wielostronnie uzdolniony, jak sam autor „Listów z Krakowskiego Przedmieścia.“

W „rozmowie“ tej uwydatniła się niezwykła u nas troskliwość obu interlokutorów (p. Kaprysa i... p. Rabskiego) o losy Austryi, o którą, ich zdaniem, parlament nie dba wcale, wysuwając na plan pierwszy zdrożne interesy narodowe. „Czyż całe to zbiegowisko posłów nazwać można wogóle parlamentem? Nie, panie, to wojna narodów, niemających żadnej wspólności ideowej, niepracujących dla państwa, lecz jedynie i wyłącznie dla siebie. W parlamencie są Czesi, Słoweńcy, Niemcy, Kroaci, Polacy, Rusini, ale niema Austryaków (niestety!) i niema Austryi. U nas walka stronnictw zmienia się coraz widoczniej w zaciętą, nieubłaganą walkę narodów. Wszystkie inne interesy, wszystkie sprawy ogólno-austryackie schodzą na plan trzeci. A wobec braku tej spójni państwowej, tego poczucia, że jest się nietylko sobą, nietylko Czechem lub Niemcem, ale obywatelem Austryi, parlament staje się fikcyą, cała organizacya pęka, działalność prawodawcza i administracyjna przeradza się w jakieś hałaśliwe, zatrważające pandemonium (!) szowinizmów sprzecznych. Hasłem powszechnem jest obstrukcya. Wściekłe gromady fanatyków narodowych chwytają za koła parlamentaryjne (?) i wóz z miejsca ruszyć nie może. „Zapłacisz, to puszczę“—wołają jedni. „Zapłacisz tamtemu, to ja oburącz chwycę cię za koła“ (?)—wygrażają inni. Wola większości staje się złudzeniem. W sprawach państwowych nikt prawie tak nie głosuje, jak mu dyktuje interes państwa, lecz jak dyktuje interes narodu, i tylko dzięki arytmetyce drobiazgowej, dzięki wiecznym balansowaniom między Scyllą i Charybdą udaje się gabinetowi wytargować odrobinę swobody dla ruchów państwowych. Dziś się jeszcze udaje, lecz czy się uda jutro, czy to wszystko nie zamieni się w kupę gruzów i chaos straszliwy, któż śmiałby w chwili obecnej odegrać rolę wróżbity? ...Parlament austryacki — to kościół bez Boga!..“

Nie, wielmożny fejletonisto, choćbyś po trzykroć zapewnił, że głosisz tylko poglądy wybitnego posła, który jeszcze ani razu nie przemawiał, rozumiemy dobrze, że tylko skromność wrodzona każe ci zachować *incognito*. Tak pięknie brzmiące frazesy mógł u nas wygłosić jeden mąż tylko, a mężem tym jest p. Rabski. Gdyby nie skromność ta właśnie, gotowi bylibyśmy nawet, wobec ujawnionych tu uczuć i znanej niechęci Habsburgów do dźwigania ciężaru korony, poradzić mu, by czemprędzej wystąpił z kandydaturą do dziedzictwa po Franciszku Józefie. Na redakcyę *Kuryera Warszawskiego* spadłby stąd w każdym razie zaszczyt niemały. *ic.*

Fałszerze prawdy.

Energiczne wystąpienie wiedeńskie Daszyńskiego przeciw nadużyciom szlachty polskiej w Galicyi przebrało miarę cierpliwości organu brukowego — *Kuryera Warszawskiego*, który zdecydował się wreszcie stanąć w obronie uciśnionej niewinności i przyprowadzić niesfornego „trybuna“ do porządku. Na początek Olimp redakcyjny postanowił zmiażdżyć go pogardliwem milczeniem. „Najeżoną *fałszami*“ mowę posła Daszyńskiego za karę pomijamy, ale za to, ku tem większemu obałamuceniu poczciwych naszych czytelników, nie wiedzących właściwie, o co chodzi, przytoczymy w całości lub w obszernych streszczeniach argumenty wszystkich jego »pogromców, przeplatając je tylko zachwytami nad taktem i rozumem p. Koerbera, powagą, doświadczeniem i wytrawnością p. Abrahamowicza, geniuszem i dowcipem p. Głąbińskiego, lub nawet (nie jesteśmy wybredni!) mądrością i talentem hr. Wojciecha Dzieduszyckiego.

Zacietrzewieni w wylewie tych uniesień i zachwytów członkowie redakcyi brukowego organu nie spostrzegli na nieszczęście, jakiego figla spłatał im w tym samym numerze ich własny korespondent wiedeński. Nietylko ogłosił wszem wobec, że talent krasomówczy Daszyńskiego „zrobił swoje, porwał słuchaczów,“ ale, co gorsza, przyznał niechcący, że w sprawozdaniu posła krakowskiego „obraz biedy, strasznej, ponurej biedy — najczęściej był *prawdziwy*.“ Gdzież więc fałsz, a gdzie prawda, czcigodni bogowie z *Kuryera* i co z tym fantem począć mają naiwni wasi czytelnicy? *aw.*

Krecia robota.

Pisma codzienne przyniosły zastraszającą wiadomość, że zapewne Warszawa nieprędko jeszcze doczeka się elektryczności. Chodzą pogłoski, że towarzystwo gazowe dessauskie odkupiło koncesye od nowo utworzonego przedsiebiorstwa oświetlenia elektrycznego Schukert i S-ka, z tym zamiarem, oczywiście, aby z niej nic korzystać i w ten sposób pozbyć się niebezpiecznego współzawodnika. Ogromnie nas widać kochają panowie dessauczycy i pod żadnym pozorem nie chcą się rozstać z nami!

Rozumiemy konieczną samoobronę nawet ze strony Towarzystwa gazowego, ale niechaj i my mamy również jakąś broń w ręku. Na razie jednak położenie wywiera takie wrażenie, jak gdybyśmy byli pozostawieni samowoli podziemnych konszachtów przedsiebiorców niemieckich, którzy mogą teraz robić z nami, co zechcą.

Czyż niema sposobu na poskromnienie tej samowoli?

Pieskowa Skała.

Sprawa — ocalenia od sprzedaży z licytacyi Pieskowej Skały wraz z prastarym zamkiem i urządzenia tam letniska wkroczyła, zdaje się, na dobrą drogę. Utworzyła się spółka w celu nabycia tej miejscowości, odnowienia zamku, wzniesienia kilku czy kilkunastu domków, przeprowadzeniem szosy od Olkusza itd., słowem, stworzenia tam uroczej i dogodnej siedziby letniej. Mamy już nawet kosztorys wszystkich tych przeróbek i ulepszeń w ogólnej cyfrze rb. 300,000 w 500 rublowych udziałach, które, również według obliczeń uprzednich, mają w pierwszym roku przynosić 10% dochodu brutto od kapitału zakładowego.

Teraz trzeba tylko, aby znalazło się 600 ludzi, którzyby chcieli włożyć po 500 rubli w ten „interes,“ nie tak świetny jak gra na giełdzie lub niegdyś na „placе,“ ale pewny i obywatelski. *h.*

Biblioteka Raczyńskich.

Opinia publiczna w Poznańskiem, i nietylko w Poznańskiem, została wzburzona iście pruską bezwzględnością, z jaką rozstrzygnięto ostatecznie sprawę mianowania zarządzającego w Bibliotece Raczyńskich: wbrew ustawom instytucyi, z pogwałceniem ostatniej woli założyciela hr. Edwarda Raczyńskiego, na stanowisko to został powołany Niemiec, nieumiejący nawet po polsku. Prasa polska poznańska protestowała przeciw temu gwałtowi — daremnie. Ten zaś, kto jedynie skutecznie mógł tu głos zabrać — spadkobierca imienia i fortuny Raczyńskich, milczał. A może uda się jeszcze publicystyce uczciwej „przypomnieć“ hrabiemu o jego obowiązkach? A może z Biblioteką stanie się to, co z galeryą obrazów innego hr. Raczyńskiego (w Obrzycku), która została wydzierżawiona berlińskiej „Galeryi narodowej.“

Smutno, że tym, którzy stoją u nas na tak zwanym świeczniku, trzeba ciągle coś przypominać; smutniej jeszcze będzie, jeśli przekonamy się, że to przypominanie na nic się nie zda, jeśli dworactwo pruskie zagłuszy głos krwi polskiej. „Otóż jacy to stoją na narodu czele“! *g.*

BADANIA NAUKOWE.

Chorwaci i Serbowie.

(Studyum socyologiczne).

II.

Nacóżby zresztą ces. Herakliusz miał wzywać chłopów-rolników, nieznających się na rzemiośle wojennem? Takich miał zawsze poddostatkiem w krajach bałkańskich, w Iliryi naddunajskiej. Takich nie potrzebował. Ale cesarstwo wschodnio-rzymskie potrzebowało zawsze *żołdnierzy*, czyli żołnierzy dla zwalczania różnych swoich wrogów, napadających na prowincye rzymskie, pustoszących i plądrujących poddanych rzymskich. Takimi wrogami były po kolei różne szczepy hunskie, a w pierwszej połowie VII wieku Awarowie, którzy swoje zagony zapuszczali na półwysep Bałkański aż do Dalmacyi. Przeciwko takim wrogom cesarze bizantyńscy używali chętnie różnych germańskich drużyn wojowniczych, biorąc je na swój żołd, tak np. w IX i X wieku Waregów-Russów, o czem szeroko traktuje historyk Kunik w dziele swojem o Rossach skandynawskich. Około r. 635 cesarz Herakliusz wezwał takie drużyny przeciwko Awarom z Chrobacyi i Serbii łużyckiej (podobno także z kraju Bojków w dzisiejszej Galicyi wschodniej). Drużyny te, osiadłe od kilku wieków w tych krajach a pochodzące najprawdopodobniej od Gotów, po dawnem państwie Gockiem Hermanrycha, rozbitem przez Hunnów w IV wieku po Chr., przybrały nazwy od krajów swych, a więc w Chrobacyi nazywali się Chrobatami, a w Sorbii—Sorbami czy Serbami *). Za usługi wojenne przeciw Awarom rząd bizantyński oddał kraje, zajęte i opanowane przez Awarów, a po ich pobiciu wymienione drużyny rycerskie zajęły te kraje, jako nowe klasy panujące, i dały początek późniejszym „państwom,“ które od nich znowu nazywano Chorwacyą i Serbią.

Ponieważ jednak historycy, zwłaszcza

*) Zdanie powyższe o pochodzeniu gockiem Chorwatów i Serbów wyjmuję z rozprawy ś. p. syna mojego, Maksymiliana, gdzie ono jest poparte świadectwami historycznemi i argumentacyą krytyczną. Rozprawa ta, traktująca w części o przedhistorycznych dziejach Polski, niestety, dla różnych trudności, dotąd nie mogła być ogłoszona drukiem; nastąpi to jednak wkrótce. Do niej co do powyższego twierdzenia o pochodzeniu „Chrobatów i Serbów“ odsyłam czytelnika.

średniowieczni, traktowali lud poddany wszędzie jako *quantité négligeable*, a zajmowali się wszędzie tylko „panami,“ nic dziwnego więc, że zapisywali tak, jak to uczynił Konstanty Porfyrogeneta, że „Chorwaci i Serbowie“ przybyli około r. 640 do Chorwacyi i Serbii. I w tej też formie wiadomość ta przeszła do późniejszych historyków aż do najnowszych czasów.

Dopiero dzisiaj, kiedy powstała nowożytna naukowa lingwistyka słowiańska, slawiści znaleźli się w dziwnym kłopocie. Znachodzą oni bowiem w krajach chorwackich i serbskich liczne *dowody* istnienia języka i ludu słowiańskiego w czasach, poprzedzających wrzekome „przybycie Chorwatów i Serbów do późniejszej ich ojczyzny.“ Jakże to być może, pytają się zdziwieni ci, którzy, opierając się na świadectwie Konstantego Porfyrogenety, nie przypuszczają, aby przed r. 635 byli tam jacyś Chorwaci lub Serbowie? Zwłaszcza na polu dyalektologii słowiańskiej przypuszczenie tak późnego przybycia Chorwatów i Serbów nad Dunaj, Bałkan i do Dalmacyi sprawiało niemało trudności. Słynny Kopitar przypuszczał (1838) „pierwotną jednolitość Słowian w Panonii, Dacyi i na Bałkanach“ (w czem poniekąd miał zupełną racyę), w którą to jednolitość „późniejsi przybysze Chorwaci i Serbowie klinem się wbiwszy przełamali.“ W podobny sposób i Miklosicz tłomaczy sobie różnicę lingwistyczną między serbo-chorwackim językiem a narzeczami „illiryjskiemi.“ Miklosicz *wyodrębnia* zarazem Serbo-Chorwatów, jako oddzielny żywioł etniczny, od reszty Słowian bałkańskich, których Bizantyńcy nazywają „Skłabenoi.“ Oczywista, że to zdanie Miklosicza poparte jest przez „świadectwa historyczne“ Konstantyna Porfyrogenety.

Tymczasem fakty lingwistyczne z takiem pojmowaniem stosunku etnicznego między Serbo-Chorwatami a resztą Słowian południowych zostają w rażącej sprzeczności. Język bowiem Serbo-Chorwatów w porównaniu z innemi narzeczami południowo-słowiańskiemi nie wykazuje bynajmniej żadnej odrębności zasadniczej. Przeciwnie, przejścia dyalektyczne między językiem serbo-chorwackim a narzeczami sąsiednich szczepów słowiańskich są tak drobnostkowe, tak żadnej większej luki nie wykazujące, że przypuszczenie, jakoby Chorwaci i Serbowie, jako obcy, z dalekiej północy, z po za Karpat pochodzący, jakkolwiek słowiańskie szczepy, w VII w. dopiero nagle się między Słowian południowych wcisnęli, jest zupełnie niemożliwe.

Jakżeż więc pogodzić świadectwo Konstantyna Porfyrogenety z niezbitymi i jasnymi faktami lingwistycznymi? Otóż genialny slawista Jagić jednem cięciem stara się rozciąć ten węzeł gordyjski. *) Wykazawszy bowiem dowodnie, na podstawie faktów lingwistycznych, że Słowianie południowi zajmowali siedziby na półwyspie Bałkańskim *dawno przed VII wiekiem* (w czem najzupełniej ma racyę) powiada poprostu że — Konstanty Porfyrogeneta bajki plecie! „Opowiadanie Konstantego jest pełne sprzeczności“ — powiada Jagić, — a zatem nieprawdziwe! „Ziarnko prawdy, które zawarte być może w Konstantynowem opowiadaniu,“ Jagić w ten sposób sobie tłomaczy, że „Słowiawianie siedzieli przed VII wiekiem już na półwyspie Bałkańskim pod panowaniem Awarów, z *którymi* tam przybyli. W skutek ucisku doznawanego od Awarów jeden ze szczepów południowo-słowiańskich noszący nazwę Chorwatów (?) wszczął powstanie, które się udało. Przez zwycięzkie powstanie ten szczep Chorwatów stał się panującym, a państwo całe przyjęło odtąd nazwę Chorwacyi, tak samo jak Serbowie nad Morawą, Bułgarowie nad dolnym Dunajem, Rosyanie nad Dnieprem, Czesi nad Mołdawą i Łabą, uzyskawszy panowanie, nazwę swą szczepową nadali swym państwom.“ Tłomaczenie to Jagića ma w każdym razie tę zasługę, że raz na zawsze zrywa stanowczo z fałszywą tradycyą, jakoby Chorwaci i Serbowie dopiero w VII w. przywędrowali byli na półwysep Bałkański. Przyzna jednak znakomity slawista, że przecięcie węzła gordyjskiego nie jest jeszcze rozwiązaniem kwestyi naukowej, a już wcale chyba nie jest naukowo uzasadnionem zastąpienie wrzekomej bajki Konstantynowej dowolnym, niczem nie popartym wymysłem o powstaniu szczepu Chorwatów i jego zwycięztwie, o jakim w źródłach niema nigdzie najmniejszego śladu!

Na innem miejscu swej rozprawy prof. Jagić powiada że nie jest historykiem i że rozwiązanie wymienionego zagadnienia historycznego (imigracyi Chorwatów i Serbów), pozostawia on historykom. Jest to zbyt wielka skromność znakomitego slawisty, który zarazem jest dość tęgim historykiem i nie dla braku erudycyi historycznej nie potrafi rozstrzygnąć sprawy, ale dlatego że, jak wszyscy historycy, — *nie jest socyologiem*. Gdyby nim był, rozwiązanie powyższego zagadnienia — nie nastręczyłoby mu żadnej trudności, i nie potrzebowałby się uciekać do zadawania kłamu opowiadaniu Konstantyna i do zastąpienia opowieści jego hypotezą o jakimś „powstaniu,“ o którem nigdzie najmniejszego nie ma śladu. Socyologia bowiem wie dobrze, że — całe szczepy nie wędrowały w średniowieczu europejskiem, jeno drużyny wojaków, dla których w dotychczasowych siedzibach brakło wygodnego pomieszczenia wychodziły na zdobycz, aby gdzieindziej znaleść „panowanie,“ tj. własność ziemską *wraz z poddanymi*. Drużyny te szły za zdobyczą, by najazdem zdobyć sobie kraje nie *puste*, ale *ludne*. W tym razie cesarz Herakliusz, potrzebując pomocy przeciw Awarom, sprowadził sobie tych wojaków z po za Karpat, oddawszy im kraje słowiańskie, tj. ziemie *zaludnione*, które sobie dawniej byli zdobyli Awarowie.

W skutek mylnej swojej konstrukcyi historycznej, prof. Jagić zmuszony jest także zaprzeczyć istnieniu Białochrobacyi, którą nazywa „krajem fantazyjnym.“ I w tem myli się grubo: istnienie Białochrobacyi na miejscu późniejszej Małopolski jest historycznie udowodnione. Co więcej, wzmianka o Białochrobacyi na północ od Karpat jest jednym dowodem więcej, że Konstanty Porfyrogeneta nie „pisze bajek,“ jak sądzi prof. Jagić, ale czystą prawdę, bo, zważywszy wszystkie okoliczności uboczne, staje się prawdopodobnem, że „panowie“ z Białochrobacyi i Serbii, którym już za ciasno się robiło w dotychczasowych siedzibach, potrzebowali jakichś nowych zdobyczy, nowego nabytku, podboju. Kłopoty cesarza Herakliusza z Awarami przyszły im w sam raz. Potomkowie Gotów, niegdyś przybysze z dalekiej północy nad brzegi Łaby, Wisły i pod Karpaty, pośpieszyli teraz nad Dunaj i pod Bałkany, goniąc zawsze za tem samem — za panowaniem, za zdobyciem ziemi *ludnej* i urodzajnej. I *ci* to „Chorwaci“ i „Serbowie“ przybyli koło r. 635 na półwysep Bałkański i *zapanowali* nad tamtejszą ludnością słowiańską.

O tyle więc relacya Konstantyna Porfyrogenety zawiera prawdę, lecz jej właściwe znaczenie odsłaniają nam dopiero zdobycze socyologii nowożytnej, mianowicie ten pewnik, że nigdzie nie było *państwa*, gdzie nie było: panów i poddanych, którzy nadto byli zawsze *różnego pochodzenia*. Że się rzecz i w danym przypadku tak miała, na to mamy jeszcze dalszy dowód czysto socyologiczny. Znajdujemy bowiem w Chorwacyi i Serbii *szlachtę i szlachecką posiadłość wiejską* („obszarników“!), która najzupełniej w taki sposób jest organizowana, jak wszędzie, gdziekolwiek drużyny wojownicze podbijają obcy kraj i ujarzmiają ludność tubylczą. Organizacya społeczna szlachty tej w „plemienia“ i rody herbowe utrzymała się częściowo u Chorwatów jeszcze *do dnia dzisiejszego*. W Serbii zaś, gdzie za panowania tureckiego część szlachty przeszła na wiarę mahometańską (Begowie), aby utrzymać posiadłości swoje i stanowisko społeczne, zachował się cenny pomnik prawodawczy, „zakon cara Duszana“ (z r. 1349). Widzimy w nim ustanowioną zupełnie taką samą uprzywilejowaną większą własność ziemską, jaka tworzy się wszędzie wskutek najazdu i podboju, z której *istnienia* zatem najpewniejszy daje się wyprowadzić wniosek co do sposobu jej *powstania*. Gdybyśmy nie posiadali żadnego innego świadectwa historycznego, i tylko ten jeden się był zachował „zakon cara Duszana,“ byłby on dostatecznym dowodem, że „Serbowie,“ którzy w VII wieku zajęli kraj między Morawą a Dunajem, była to drużyna zdobywców, która, ujarzmiwszy lud tubylczy, kraj między siebie podzieliła.

Oczywista, że historycy serbscy, tak samo jak historycy innych narodów, starają się ten fakt najazdu, ile możności, zatrzeć i przemilczeć. Czynią oni to w bardzo chwalebnej może tendencyi narodowo-patryotycznej, której jednak socyologia podzielać nie może, bo socyologia jest *nauką*. Serbscy historycy nie mogą oczywiście i nie chcą przyznać faktu, że szlachta serbska pochodziła od obcych najeźdców. Uciekają się więc w celu wytłomaczenia powstania szlachty serbskiej do ulubionego także w innych krajach sielankowego opisu, jak to lud „zasłużonych swoich i najcnotliwszych mężów wybrał sobie na szlachciców.“ Powiastki takie, mimo całej swej naiwności, znajdują zawsze wiarę w każdym narodzie, zwłaszcza co do własnej szlachty. Co do obcej, chętnie przyznaje się fakt o jej powstaniu przez najazd, np. w Anglii, w Hiszpanii itd. Ale o własnej szlachcie historycy narodowi zawsze znajdą wiarę, twierdząc, że powstała z pośród ludu, przez „wybór“ na urzędy i godności, że powstała ze „starszyzny zasłużonej“ itp. sielankowe procedery.

To też historyk serbski, Kallay, w ślad za innymi historykami serbskimi, podaje nam następujący romans patryotyczno-fantastyczny:

„Czy Serbowie organizacyę swoją społeczną przynieśli z dawnych swych siedzib, czy ją dopiero rozwinęli w nowej swej ojczyznie, jest dla nas obojętnem (!). Nie ulega jednak wątpliwości (?), że kilka zadrug, zachowując całą swą niezależność, łączyło się w większy związek, nazwany rodem. Obszar takiego rodu nazywano żupą. Podobnie jak „starjeszyna“ kierował sprawami *zadrugi*, tak samo i żupa miała swojego naczelnika, *żupana*, którego *prawdopodobnie* (!?) wybierały sobie zadrugi albo raczej starjeszyny (najstarsi) zadrug, uwzględniając przytem *wiek* i *zasługi*...“ Otóż to pierwotnie wybieralne żupaństwo— powiada Kallay, stając się dziedzicznem w pewnych rodzinach, podniosło je do stanu szlacheckiego. „Serbska szlachta zatem pochodzi od tych *wybranych* (!) naczelników w taki sposób, że ta wybieralność stała się dziedziczną w poszczególnych rodzinach...“ *). W dalszym ciągu tych wywodów pisze znów ten sam historyk: „Jak we wszystkich państwach Europy, znajdujemy także różnicę stanową, która powstaje między poszczególnemi klasami narodu przez uprzywilejowane wykonywanie pewnych praw, z drugiej zaś strony przez brak tych praw. Powyżej już powie-

*) W rozprawie *Zur Geschichte der südslavischen Sprachen*, zamieszczonej w XVII tomie *Archiv für slavische Philologie* na str. 47.

*) Kallay: *Geschichte Serbiens*, I, 76.

działem, w jaki sposób wytworzyła się ta klasa narodu, którą najtrafniej nazywać można szlachtą. Niemniej powtórnie już wskazałem, że szlachta serbska, pomimo niektórych pozornych punktów stycznych ze szlachtą feudalną Europy zachodniej, nie może być za taką uważana (?). Początku bowiem szlachty serbskiej szukać należy w *wyborze*, przez który jednostki z pośród równouprawnionych powołane zostały do pewnych urzędów. Jest rzeczą naturalną, że faktyczne wykonywanie praw, połączonych z takim urzędem, nadawało jednostkom znaczenie, zapewniające im pewne przywileje, niepołączone pierwotnie z urzędem, na który zostały powołane. I również naturalną jest rzeczą, że przywileje te i prerogatywy w tych rodzinach, w których się ustaliły, stały się z czasem dziedzicznymi" *).

Przedstawienie powyższe początku szlachty serbskiej napisane jest zupełnie według modły, używanej we wszystkich państwach europejskich, które powstały na zasadzie najazdu i podboju przez obcy szczep wojowniczy. W większej części tych państw, w upłynionych wiekach, cudzoziemskość pochodzenia uchodziła za zaszczyt, za odznaczenie rodów szlacheckich, bo cudzoziemskość ta odróżniała rody od motłochu krajowego. Tak np. Frankowie wywodzili się z Troi, co miało znaczyć, że *nie należą do pospólstwa krajowego*, że nie mają nic wspólnego z „ludem." Wiadomo także, że i u nas Paproccy i Niesieccy czcili rody szlacheckie, wywodząc je z Włoch, Hiszpanii, Francyi i Bóg wie skąd, co w każdym razie wskazuje, że tradycye rodowe i w Polsce nie tkwiły w ludzie tubylczym. Dopiero z pojawieniem się idei narodowościowej w Europie *moda* się zmieniła. Zaczęto wywodzić szlachtę, jak to czyni Kallay, z pośród „równouprawnionych" (według teoryi Rousseau) przez wybór „najlepszych," w nagrodę za różne „zasługi." Stąd poszło, że w Prusiech „junkrów" nieraz nazywano oficyalnie „wyborowymi"— „die Besten der Nation" „elitą narodu." Dziejopisarstwo zaś europejskie przyjęło tę metodę, a pojawiające się tu i owdzie zdania, że szlachta pochodzi od najeźdźców, odpierano znowu jako niepatryotyczne i rewolucyjne.

(D. n.)

Prof. Ludwik Gumplowicz.

*) Tamże, str. 99.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura niemiecka.

Powieści „sportowe."

Michał Anioł baron Zois, sportsman i gentleman pierwszej klasy, jest z zawodu wytrawnym jeźdźcem i wyścigowcem, a z amatorstwa... powieściopisarzem. Jako wielostronny Europejczyk, inteligencyi swych nóg używa pod siodło, a inteligencyi umysłu do popełniania powieści [1]). Pan Michał Anioł baron Zois nie jest wyjątkiem wśród swych ziomków. Wprawdzie inni koledzy jego po piórze nie mają tak wysubtelnionych i wytrenowanych odnóży, ale piszą również powieści z dziedziny sportu. Piszą *pour passer le temps*, lub, bo to modne, by uchodzić w salonach za „literata," lub wreszcie— bo to popłaca. I tak pisze pan Jerzy baron Ompteda [2]) powieść o „cyklistce," pan Henryk Loe [3]) aż dwutomową powieść o „cyklistach," pan Karol Proll [4]) „wesołe historyjki o wojakach i wyścigowcach," pan Wilhelm Meyer-Förster [5]) o „podróży dokoła świata" bicyklem, pan C. F. Riess [6]) o „królu cyklistów," pan John Henry Mackay [7]) o „pływaku" itd. itd.

Przypuszczasz może, łaskawy czytelniku, że te książki czytałem? Bynajmniej. Czytałem tylko niezliczone recenzye i sprawozdania o każdem niemal z tych dzieł z osobna i zestawienia wszystkich razem. Z recenzyj tych dowiedzieć się nie sposób o istotnej wartości utworów. Każdy z pp. sprawozdawców poczuwa się do obowiązku wypisania długiego, nudnego, biologiczno-patologiczno-psychologicznego wykładu o istocie sportu, a w następstwie do palnięcia „ciętej" filipiki na temat zwyrodnienia tej gałęzi wychowawczo-zabawnej. O samych zaś dziełach piszą różnie. Zależy to od firmy, pod jaką żeglują po morzu publicystycznem. Jedni odsądzają tego rodzaju tematy od twórczości artystycznej wogóle. Uważają je za zbyt trywialne, fizyczne, nieszlachetne. Tak piszą fejletoniści, maczający swe pióra najpierw w czarnym atramencie, a potem w śnieżno-białych słoikach, w których ze względu na swe nadobne czytelniczki przechowują pewien zapas sosu idealistyczno-altruistycznego, którym podlewają swe fejletony. Inni, fejletoniści-satyrycy, zawodowo kpią ze wszystkiego, a więc i z literatury dżokejów, totalizatorów i półpanków. Inni wreszcie, ci wielcy, patetyczni, chmurni, lubiący — jak to frazes niemiecki określa — każdą rzecz *an die grosse Glocke hangen* (powiesić na wielkim dzwonie), wsiadają na konika oburzenia i donośnie wykazują, że takie tematy każą czystość literatury, że Schillery, Goethowie, Lessingi przewróciliby się w grobach, gdyby ujrzeli, że zamiast Carlosów, Ifigenij, Faustów, Nathanów Mędrców, panosza się w literaturze katylinarne postacie okpigroszów, furmanów, bogatych próżniaków, policyantów, dżokejów i dam z półświatka. Fuimus Troes! — zawodzą zrozpaczeni — mieliśmy literaturę wielką, styl wielki, a teraz bawimy się, karlejemy! — ronią łzy tak obficie, że gdyby ich fejletony — po 10 fenigów od wiersza — wycisnąć, popłynęłyby strumienie łez.

Tak więc różnie zapatrują się zawodowi oceniacze na tę nowalię w literaturze niemieckiej. Streszczenia „powieści sportowych," rozsiane po pismach, niezbyt przekonywają o pomysłowości i sprycie ich autorów. Zwykle chodzi tu o najprzeciętniejszą historyę małżeńską, w której „sport" odgrywa rolę pośrednika. Dawniej załatwiano takie historye przy kominku w mroźny wieczór zimowy, kiedy to na dworze śnieżyca hula, a w ciepłej izbie pan porucznik — „sehr schneidig" — zdobywa serduszko uroczej blondynki, a pan powieściopisarz, niby sylf przyczajony, notuje dzieje tego romansu, by potem w wodnistych szpaltach dostarczyć karmi duchowej tysiącom filistrów. Dziś dzieje się to inaczej. Niema lepszego pośrednika małżeńskiego, jak sport. Panna X. topi się w jeziorze, pan Y., znakomity pływak, ratuje „oczko w głowie" tatusia, który w nagrodę czyni zbawcę swego „skarbu" najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, bo mężem swej córki. Ot, i powieść „sportowa" gotowa. Albo, jak pysznie zawiązują się małżeństwa podczas wyścigów! Mniejsza o to, czy wyścigi końskie, czy ludzkie, cyklistów czy automobilów. Wszędzie znajdzie „powieściopisarz" dość tematu. Albo, co za wspaniałe tematy nadarzają się dla „nowelisty" w „szkole jazdy na kole." Istny róg Amaltei...

Zapomnijmy na chwilę o mizerocie powieściowej, którą powyżej naszkicowałem, a wglądnijmy poważniej i baczniej w jądro sprawy.

Chodzi o to, po pierwsze, czy temat taki, jak sport, może być artystycznym, a powtóre, w jakich to się stać musi warunkach.

Otóż, co najjaskrawiej bije w oczy, sztuka współczesna niewątpliwie zażywa więcej swobody w obiorze tematu i środków, niż utwory artystyczne naszych dziadów. Dawniej w sztuce zakaz „nie uchodzi" odgrywał przepotężną rolę, bo krępował wszelki poryw swobodnego wyboru artysty. Zależnie od tego, jaka sfera społeczna — arysto- czy plutokracya — wywierała wpływ decydujący, kształtował się też pogląd twórcy na to, co uchodzi, a co nie.

Dziś przeciwnie. Coraz śmielej toruje sobie drogę na przełaj konwencyonalizmowi i teoretycznym, kaznodziejsko-wstecznym wywodom przeświadczenie, że w sztuce wszystko uchodzi, że każdy temat dobry, byle się tylko dostał w ręce dobre, byle go podjął i uzewnętrznił prawdziwy artysta. Nie chodzi o to, powiada współczesna teorya estetyczna, co artysta jako temat sobie obierze, lecz tylko jak go ucieleśni, jak weń skarby swej duszy tchnąć potrafi, jak go ożywi i na poziom artystyczny podniesie. Ba, teorya ta posuwa się dalej; dowodzi, że nietylko teraz swoboda ta ma i mieć powinna zastosowanie, że nieświadomie może kiełkowała w umysłach arcymistrzów literatury świadomej, że na jej podstawie „uchodziło" kazirodztwo w tragedyi greckiej, nie „raził" opis głodu i jego następstw w komedyi dantejskiej, i tak dalej.

Punkt ciężkości nie leży więc w temacie, lecz w artystycznem obrobieniu, w autorze samym. Stąd musi wypromieniować ten czar, który estetyka napróżno stara się określić i omotać dany temat tak rozkoszną powłoką, iżby nikomu na myśl przyjść nie mogło żadne zdanie w guście „nie uchodzi," żadne uprzedzenie.

Teorya: wszystko uchodzi prawdziwemu artyście — to zdobycz wieku minionego, zdobycz realizmu w sztuce. Ona to usuwa szranki, stawiane przez pewne warstwy społeczne i ich upodobania, swobodnemu spojrzeniu artysty w świat.

Z tego stanowiska byłby bezwzględnie nieuzasadnionym zarzut, jakoby temat tak prozaiczny, fizyczny, nieszlachetny itd., jak sport, nie dał się wynieść do wysokości dzieła sztuki.

Przeciwnie. Sport właśnie posiada wiele pierwiastków, wspólnych z istotą sztuki. Bo zarówno sport, jak sztuka, stanowią w przeciwieństwie do pracy uzupełnienie, okrasę, uśmiech życia. Tylko że sport stara się uzupełnić pracę życia środkami przeważnie fizycznymi, sztuka — przeważnie psychicznymi. Greckie *kalon kageton*, zmierzające do syntezy obu tych pierwiastków, fizycznego i psychicznego, mieściło w sobie w harmonijnym uścisku sport i sztukę.

Tak więc sport stanowi bardzo korzystne podłoże sztuki. Niezliczona moc wrażeń, afektów, namiętności, owych kataklizmów i starć, spowodowanych współzawodnictwem jednostek, oddanych całą duszą zabawie sportowej, daje się znakomicie wyrazić w formie artystycznej. Od postaci dyskobola, wytężającego całą swą energię

---

[1]) „Der Vollmensch," ein Rennfahrerroman, von Michel Angelo Freih. von Zois. Dresden, 1902.

[2]) „Die Radnerin," Geschichte zweier Menschen, von Georg Freih. von Ompteda. Berlin. Vierte Auflage, 1900.

[3]) „Radfahrer," humoristischer Roman von Heinrich Lee. Berlin.

[4]) „Kriegsvolk um Radvolk," heitere Geschichte von Karl Pröll. Berlin, 1901.

[5]) „Die Fahrt um die Erde," ein Amateur-Roman von Wilhelm Mayer-Förster. Stuttgart.

[6]) „Der Meisterfahrer," Roman von C. F. Riess. München, 1900.

[7]) „Der Schwimmer," die Geschichte einer Leidenschaft, von John Henry Mackay. Berlin. Zweite Auflage, 1901.

życiową w rzut po powierzchni, aż do wyścigowca, mknącego z wichrem z Paryża do Berlina — ciągnie się długi szlak uczuć i wrażeń, plastyki i ruchu, mogących bardzo dobrze znaleźć ujście w dziele sztuki.

Byle tylko w dziele sztuki, a nie — w sztucznym fabrykacie.

Rozgraniczenie to jest bardzo ważne. Bo z jednej strony pozwala nam przykładać miarę prawdziwą do tej plejady powieści i powieściopisarzy, fabrykujących z modnego życia sportowego sztuczne wyroby literackie o znikająco wątłem podłożu artystycznem, a z drugiej strony daje nam możność przekonania zacofańców, odsądzających za wszelką cenę od udziału w sztuce czynniki, odgrywające w życiu współczesnem ważną rolę.

Bertold Merwin.

POEZYE

Z cyklu: „Żegluga.“

Zatopione statki.

Otoczyły mnie fale przeszłości... W skafander
Przesiąkniętych goryczą wspomnień myśl okułem
I widzę na dnie—żrącym zapomnienia mułem
Oblepione—wierzchołki masztów, szmaty bander...

To trupy zatopionych statków... Budowałem
Z drzew różnych te korabie w niesłychanym trudzie
I na każdym płynąłem niegdyś w boskiej złudzie,
Że ujrzę ląd wyśniony za groźnych fal wałem...

Lecz gdym uczuł, że każdy z mych statków zbyt kruchy,
Że ciosem strasznej pięści huragan go zgniecie,
Nowy-m stwarzał, mocniejszy, nie tracąc otuchy, —

Party stalowej woli potęgą wszechwładną,
A poprzednie mych dłoni nieudolne dziecię,
Chcąc prędzej stracić z oczu— pogrążałem na dno.

Odjazd.

Błędy moje w swym ogniu prób daremnych piekło
Przetopiło w doświadczeń szczerozłote bryły...
Już me łodzie nie będą na dnie morza gniły,
Bo dzieciństwo potęgi mej w przeszłość uciekło...

Znalazłem las, gdzie dęby, jak stal twarde, rosną,
I rozpocząłem statku trwałego budowę...
Dziś łańcuch męki pęka—me dzieło gotowe,
Więc młot serca wydzwania pieśń szczęściem radosną...

Oto na wody puszczam korab mój z wybrzeża,
Chcę widzieć, jak na grzbietach fal się zakołysze,
Jak morze ostre piersi w złote bryzgi potną...

Wytęskniona godzina odjazdu uderza —
Podnoszę święty sztandar... szelest żagli słyszę...
Już płynę... Dalej, naprzód!.. W drogę niepowrotną!..

Zatoka.

Wiem, błękitna zatoko, że twych wód zwierciadło
Wzgórzami fal zdradliwych nigdy nie nabrzmiewa.
Że wieńcem brzeg twój kwietne ustroiły drzewa,
Żeś niegroźna otchłanią morza nieodgadłą...

Wiem, błękitna zatoko, że czarem twych zacisz
Potrącasz struny—w duszy żeglarza najlichsze,
I szepczesz: „Pójdź zapomnieć o gromach i wichrze,
Próżno w walce szalonej skarby potęg tracisz!..“

Lecz jam z tych, co na wieczny niepokój skazani,
Bom umiłował święte złotą jaśnią dale,
I w sercu mojem łkają krwawych tęsknot głody —

Więc bez żalu cię mijam, spokojna przystani...
Dziób łodzi szarpie pianą ugrzywione fale
I płynę w bezkres siny, hen— na pełne wody!..

Żegluga.

Fal paszcze, wiecznie głodne, kąsają brzeg łodzi
I ostrze skały marzy, jak w jej dno się wwierci,
Huragan odczytuje wyrok mojej śmierci —
Gwiazda wiary w zwycięztwo z mych niebios nie schodzi...

Śmiech bezdennej pogardy ślę wam, możne wrogi,
I wciąż większe rozpinam na mych masztach żagle
I jeszcze uderzeniem wioseł łódź swą naglę,
Bo mym oczom nieznany nędzny upiór trwogi...

O warto tak żeglować wśród szału żywiołów
I widzieć, że oporem moc wrażą się kruszy...
W blaskach gromów mknąć naprzód ku dalom wyśnionym,

Wieść niewód w pewnej łodzi na bogaty połów,
Nieprzebrane kopalnie potęgi mieć w duszy,
W boju na śmierć i życie czuć się niezwalczonym!..

Stefan Smoleński.

NA MARGINESIE.

Autobiografia dziennikarki, Amerykanki, Miss Banks, daje żywy i niezmiernie zajmujący obraz niezwykłych obowiązków i stosunków, oraz nadzwyczajnych przygód, związanych z tym zawodem. Miss Banks została dziennikarką z powolania. Pierwsze kroki na tej drodze zaczęła stawiać w Londynie, dokąd przybyła z psem, maszyną do pisania i czterystu dolarami w kieszeni. Znajomości spraw, o których pisać miała, nie chciała zawdzięczać cudzemu doświadczeniu, z kolei przeto była: służącą i to nie w jednem tylko miejscu, zamiataczką ulic, praczką, kwiaciarką, sprzedającą kwiaty na miejscach publicznych. Chcąc poznać bliżej życie klas wyższych, wystąpiła jako bogata Amerykanka na wydaniu i zobaczyła się wkrótce celem zabiegów różnych hrabiów, baronów i książąt. Jeszcze ciekawsze porobiła znajomości po ogłoszeniu w dziennikach, że milionerka poszukuje stosunku, przez który mogłaby się dostać do najwyższych sfer towarzyskich i być przedstawioną na dworze. Posypały się oferty za cenę od 4,000—5,000 f. st. (40—50 tys. rb.). Z przeżytych wrażeń i zdobytych w tych wyprawach spostrzeżeń miss Banks spowiadała się w artykułach po różnych tygodnikach, które naturalnie wzbudziły ogólną ciekawość co do celu jej studyów. Sława londyńskich przygód poprzedziła ją w Ameryce, to też gdy przybyła do do Nowego-Yorku, bez trudności znalazła zajęcie. Lecz tu żądano od niej nieraz rzeczy, przechodzących nawet londyńskie zuchwalstwa: proponowano np., żeby wyszła na ulicę w roli prostytutki, ściągnęła na siebie aresztowanie, przebyła noc w policyi wśród kobiet publicznych, następnie z przejść swoich i wrażeń ułożyła artykuł. Innym razem chciano ją wysłać do bandy rozbójników w Wirginii, którzy każdego mężczyznę, tak przedstawiciela władzy, jak dziennikarza zabijali, nim ten zdołał podejść bliżej. Redaktor zarçczał, że o jej życie nie potrzebuje się lękać, znając wrodzoną wszystkim Amerykanom rycerskość dla kobiety. Miss Banks nie chciała się jednak podjąć tak jednego jak drugiego zadania, a pomimo to praca jej nie była lekką. „Musiałam często — mówi ona — poddawać się rzeczom dla mnie przykrym i wstrętnym, narażającym mię na takie niebezpieczeństwa, o jakich dziś nawet nie mogę bez zgrozy pomyśleć i pojąć, jak z nich cało wyszłam.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Część młodzieży żydowskiej w uniwersytecie lwowskim, około 150 studentów, zebrała, się w sali uniwersyteckiej we Lwowie aby oświadczyć, że „pragnie nie oddzielać się od dążeń i celów akademickiej młodzieży polskiej.“ Potępiono program syonistów, jako wrogi krajowi, bałamucący młodzież żydowską i odrywający ją od pracy. Przyjęto uchwałę popierania interesów polskich ściśle z kwestyą żydowską związanych, zapisywania się Żydów do Czytelni akademickiej, wyboru 5 przedstawicieli młodzieży akademickiej. — Proponowano dla przeciwdziałania syonizmowi wytworzyć działanie z programem asymilacyjnym we wszystkich kierunkach życia publicznego — zająć się umoralnieniem Żydów, odciągnięciem ich od lichwy, zniesieniem chederów, reformą religijną i usunięciem żargonu.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty wydało oddzielne dla każdego okręgu naukowego przepisy nadzoru nad uczniami średnich zakładów naukowych, którzy podczas wakacyj przebywają w innym okręgu. Nadzorowi po za domem podlegają również wychowańcy niższych zakładów naukowych, posiadający mundury. Naczelnicy szkół średnich obowiązani są zaopatrywać wszystkich uczniów, wyjeżdżających na wakacye, w dowody na prawo przebywania w oznaczonej miejscowości. Nadzorujący pozwalają uczniom uczęszczać na przedstawienia teatralne, koncerty, wieczory taneczne i inne zabawy, przestrzegając, by uczniowie nie brali udziału w przedstawieniach amatorskich na scenach mieszkań letnich.

— Ogłoszoną została ustawa 7-klasowej szkoły handlowej w Lublinie.

— Uniwersytet w Walencyi obchodzić będzie w miesiącu bieżącym 400-ną rocznicę swego istnienia.

— Do uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zapisało się w r. b. na wydział teologiczny 65 słuchaczów zwyczajnych, 1 nadzwyczajny; na wydział prawny 597 zwyczajnych, 2 nadzwyczajnych; na wydział lekarski 101 zwyczajnych słuchaczów mężczyzn, 13 zwyczajnych słuchaczek kobiet, 22 nadzwyczajnych uczniów; na wydział filozoficzny 609 zwyczajnych słuchaczów, 28 zwyczajnych słuchaczek; nadzwyczajnych 27 słuchaczów, 35 słuchaczek, 9 farmaceutów Około 80 kobiet wniosło podania o przyznanie im praw hospitantek.

— Towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze, w celu umożliwienia osobom, uczęszczającym na kursa dwuletnie, odbywania ćwiczeń praktycznych, wydzierżawiło za rogatką mokotowską obszerny i odpowiednio do celów naukowych zagospodarowany ogród.

Literatura i prasa. Ogólne zgromadzenie dziennikarzy austryackich uchwaliło utworzyć związek państwowy, do którego będą mieli prawo należeć wszyscy pracownicy na tej niwie w Austryi. Jednem z głównych zadań związku byłoby łagodzenie zatargów narodowych.

— W czerwcu ma się odbyć w Lipsku wszechświatowy konkurs zecerów. Do prawidłowego i ortograficznego złożenia wyznaczone będą rękopisy we wszystkich językach europejskich, na szybkość — tylko we francuskim.

Ze sztuki. Na cmentarzu Montparnasse w Paryżu odsłoniono pomnik poety Baudelaire'a.

— W Berlinie oddano do użytku nowe gmachy dla akademii sztuk pięknych i akademii muzycznej.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum spraw wewnętrznych opracowało projekt prawa, dozwalającego Żydom nabywania w całej Rosyi działków ziemi, nie większych wszakże nad 50 dziesięcin. (*Nowosti*).

— Wszelkie stowarzyszenia. mające związek z gospodarstwem rolnem, postanowiły urządzić w Pradze w połowie maja r. p. wielką wystawę gospodarstwa krajowego.

— Według danych statystycznych ministeryum rolnictwa, w 46 guberniach Rosyi europejskiej, w posiadaniu prywatnem jest przeszło 95,668,431 dziesięcin ziemi, z czego na stan szlachecki przypada 65 mil. dzies., 13 mil. na kupiectwo, 12,577,867 na stan włościański, 3 mil. na mieszczaństwo, i 2 mil. dzies. na inne stany.

— Powstał projekt założenia nowego Towarzystwa ubezpieczeniowego wyłącznie dla fabryk i zakładów przemysłowych z kapitałem 1 mil. rb. Udziałowcami mają być tylko fabrykanci i przemysłowcy, ubezpieczający swoje fabryki.

— W ciągu ośmioletniego istnienia Banku włościańskiego włościanie nabyli w kraju tutejszym drogą parcelacyi 878 majątków ziemskich, obciążonych pożyczkami Tow. kred. ziemsk. Majątki te zakupione były przy pomocy banku włościańskiego, który na spłatę 9,115,000 rb. pożyczek Tow. kredytowego dał 8,840,000 rb. Pozostałość rb. 275,000 spłacili sami włościanie.

Koleje i komunikacye. Utworzona z polecenia zjazdu przedstawicieli służby telegrafu i elektrotechników kolejowych komisya uznała, iż oznaczenie poziomu wykształcenia dla obsługujących telegrafistów kolejowych jest niepotrzebne, natomiast winni oni posiadać rutynę, wyraźny charakter pisma i świadectwo z ukończenia szkoły miejskiej lub powiatowej. Pensye powinny być nie mniejsze nad 360—420 rb. dla telegrafistów młodszych i od 420—900 rb. dla starszych, oprócz mieszkania; dyżury 8-godzinne.

— *Nowosti* donoszą, że od nowego roku ma być wprowadzony podatek na rzecz instytucyi Cesarzowej Maryi w wysokości 50 kop. od każdego miejsca opłaconego („platzkarty") w pociągach osobowych.

— Wprowadzoną została taryfa komunikacyi bezpośredniej Rosyi z Anglią. Bilet za przejazd z Petersburga do Londynu I klasą na przeciąg dni 45 z powrotem kosztuje 174 rb. 14 kop., II — 122 rb. 65 k.

Katastrofy. D. 30 z. m. w Częstochowie skutkiem fuszerki zawaliła się część nowozbudowanych koszar. Siedem osób straciło życie, kilkanaście odniosło ciężkie obrażenia.

— W Gwatemali wybuch wulkanu Santa Maria zrządził wielkie szkody. Pola urodzajne pokryte są warstwą popiołu i piasku na grubość 7 stóp.

— D. 2 b. m. w nocy na kanale La Manche parowiec towarowy angielski „St. Regulus" zetknął się z parowcem hiszpańskim „Enero"; ostatni poszedł na dno morskie w przeciągu kilku minut, a wraz z nim 22 ludzi z załogi.

Zmarli. Dr. Jan Roszkowski, we Lwowie, dziennikarz i publicysta.

— Stanisław Nawrocki, w Nowym-Yorku, literat i dziennikarz, pracownik społeczny wśród wychodźców polskich w Ameryce.

— Elżbieta Cady Stanton, w Nowym-Yorku, przodowniczka ruchu kobiecego w Stanach Zjednoczonych. Żyła lat 90.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani L. C. prenumeratorce w Radomiu. Uwagi Pani są zupełnie słuszne, w tej formie jednak w piśmie naszem drukowane być nie mogą.

OFIARY.

— Dla uczczenia pamięci Henryka Forsztetera zebrane w gronie rodaków, przebywających w Berlinie rb. 19, przeznaczono, zamiast wieńca na trumnę, na wsparcie dla biednego studenta za pośrednictwem *Prawdy*. Złożyli: G. 5 m., K. 3 m., Z. 2 m., N. 2 m., S. S. 50 f., Dr. H. H. 1 m., B. 2 m., Sil. 5 m., E. N. 3 m., dr. I. H. 5 m., dr. L. H. 5 m., dr. I. L. 5 m. Gr. 1 m., W. W. z L. 3 m., razem 42.50 m. = rs. 19.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Октября 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.